



CZEGO
CHCIEĆ OD
KRASNOLUD-
KÓW

3

NIE WIERZE
W ŻYCIE
POZACHIRUR-
GICZNE

4

WIGILIJNE
POWROTY
9

ŚWINIA
NR 617
12-13

DLA
NAJMŁODSZYCH
POD CHOINKE

19



KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

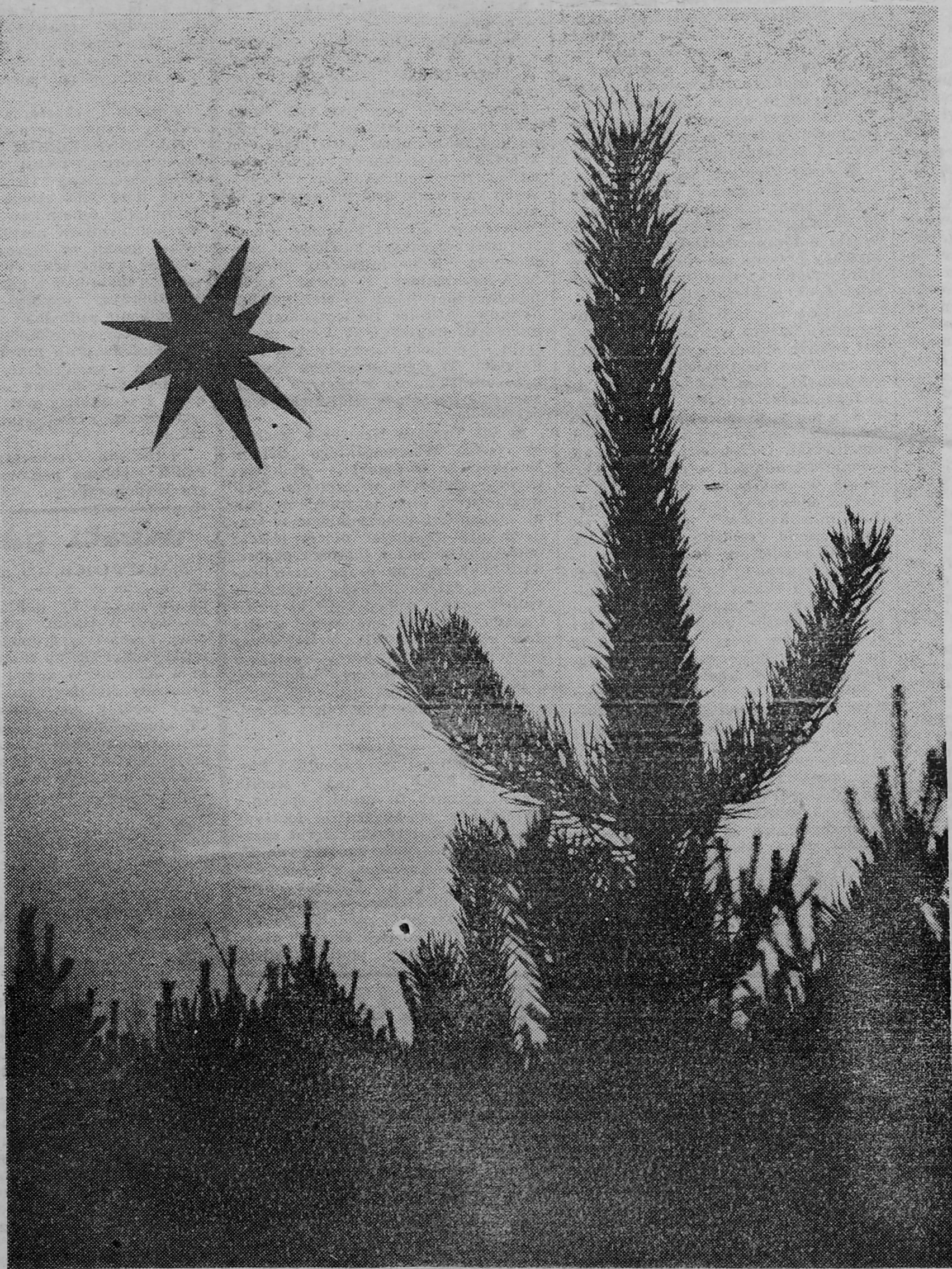
52-53

167-168

KONTAKTY

25-31
XII 1983

cena
15 zł



POGODY DUCHA
KAŻDEGO DNIA 1984 roku

życzą Czytelnikom „KONTAKTY”

OPOWIEŚCI O CHLEBIE

Rozpoczynając dzień chlebem naszym powszednim, nikt już nie pamięta o roli, jaką pełnił on w dawnym życiu Polaków. Niedostępny na co dzień, świetlny, magiczny — takim utrwaliła go przez wieki tradycja ludowa. Towarzyszył człowiekowi od narodzin aż do śmierci, leczył z dolegliwości ciała, chronił przed zakusami duchów. Zanim zaczęliśmy przy wigilijnym stole łamać się opłatkiem, życzenia „Do siego Roku” przekazywaliśmy wraz z kawałkiem świątecznego chleba. Warto sobie przypomnieć o jego niecodzienności i szacunku, jakim darzyli nasi ojcowie każdą okruszynę. Bo nie zna smaku chleba ten, kto nie był głodny.

Prezentowany wybór tekstów pochodzi z książki Ireny i Krzysztofa Kubiaków — „Chleb w tradycji ludowej”. Jej autorzy kandydują do naszej nagrody im. Glogera.

CIĄG DALSZY NA STR. 14-15

W NASTĘPNYM NUMERZE: dyskusja w Klubie „Starcia” — „Polskie podziały i pojednanie” * mile złego początku w rutkowskim GS-ie * laureaci ogólnopolskiego konkursu im. Zygmunta Glogera * „Kontakci” * rozliczenie z rockiem * plebiscyt: „Młody talent roku” i „Przyjaciel sportu”.

JAK MINĄŁ ROK 1983?

● Bogdan Dąbek, ślusarz w Fabryce Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży: — W domu — niewesoło. 12 tysięcy złotych — z rekompensatą, rodzinnym i wysługą 21 lat — z trudem wystarczyło na życie. Udało mi się w ciągu roku uskubnąć z tego tylko na buty, koszulę i skarpety. Przeraża mnie podwyżka cen w następnym roku. W zakładzie — dzięki operatywności zaopatrzeniowców — utrzymaliśmy ciągłość produkcji i z nadwyżką wykonaliśmy plan. Sprawdza się nam samorząd, choć szkoda, że na podwyżki plac może przeznaczyć tylko 7 procent.

● Zygmunt Kulęgowski, rolnik ze wsi Gromadzin Wykno w gminie Kolno: — Mamy wreszcie od tylu lat wyciekający zapis w Konstytucji o trwałości naszych gospodarstw. Udały się zbiory. Brakuje jeszcze stabilnych cen. W życiu osobistym — każdy szary dzień podobny był do poprzedniego.

● Włodzimierz Michaluk, I sekretarz KW PZPR: — W mojej sytuacji, z racji pełnionej funkcji i wynikających stąd obowiązków, czas mija bardzo szybko. Tak też upłynął mi rok 1983 — rok nietypowy. Zaczął się w czasie ograniczania stanu wojennego, a zakończył już po jego zniesieniu.

W ciągu mijających 12 miesięcy tak starałem się kierować pracą instancji wojewódzkiej i całej wojewódzkiej organizacji partyjnej, aby utrwałać w partii i społeczeństwie przekonanie, że po IX Zjeździe jesteśmy partią tą samą, lecz nie taką samą. Mam odwagę stwierdzić, że w dużym stopniu to się udało. Świadczy o tym znaczny postęp we wdrażaniu reformy gospodarczej, a zwłaszcza widoczny w jej ramach rozwój i aktywizacja wszelkich form działalności samorządowej. Tworząc właściwą atmosferę partyjną osiągnęliśmy w województwie liczący się efekt — rozwój nowych związków zawodowych. Nastąpił widoczny wzrost zaufania społecznego do partii. Potwierdza to liczba interesantów zgłaszających się do naszych instancji partyjnych, liczba kierowanych do nas listów, dobra atmosfera towarzysząca kampanii sprawozdawczo-wyborczej w partii, a wreszcie — przyrost naszych szeregów — w ciągu 11 miesięcy przyjęliśmy 130 kandydatów, podczas gdy rok temu tylko 62.

Za największy sukces uważam jednak nie statystyczny, lecz rzeczywisty rozwój PRON-u, utrzymanie w województwie spokoju społecznego i zaangażowania produkcyjnego. Dokumentują to wyniki naszego przemysłu, budownictwa, rolnictwa i innych działów gospodarki narodowej. Za takie właśnie wieńczenie tego roku społeczeństwu Ziemi Łomżyńskiej składam serdeczne podziękowanie.

Jaki był rok 1983 w moim życiu osobistym i rodzinnym? Pozostało na to naprawdę niewiele czasu. Zresztą rodzina do tego jest już od dawna przyzwyczajona. Starszy syn złożył w Szkole Głównej Planowania i Statystyki pracę magisterską, wstępnie bardzo pozytywnie ocenioną przez recenzenta. Do obrony jej jednak nie doszło, bo powołano go do służby wojskowej. W pamięci pozostałe także drobny wypadek przy pracy i związany z tym dwutygodniowy pobyt w szpitalu. Bliżej przez to poznałem problemy łomżyńskiej służby zdrowia i panującą tam atmosferę.

● Mirosław Skalski, sekretarz KW PZPR, poseł Ziemi Łomżyńskiej: — Rok intensywny dla Sejmu i każdego posła. Szereg ustaw perspektywicznych, ważnych dla życia kraju. Jedną z nich — program rozwoju rolnictwa do 1990 roku referowałem w imieniu Sejmu jako poseł sprawozdawca. Skutecznie interpelowałem o zwiększenie środków na budowę szpitala — inwestycja dostała zastrzyk i ruszyła z punktu krytycznego. W życiu prywatnym — bez zmian, kadencja przedłuża się. Po następnym roku spodziewam się dalszej stabilizacji — podstawy ku temu są już stworzone.

● Zygmunt Grygo, przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej: — Uchwaliliśmy w tym roku: plan i budżet na rok 1983, plan społecz-

no-gospodarczy na lata 1983-85 (PRON zgłosił don 47 interesujących wniosków i postulatów), Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury. Powołaliśmy Komisję do spraw samorządu pracowniczego i zespół informacyjno-doradczy do spraw związków zawodowych. Przyjęliśmy program rozwoju drobnej wytwórczości do roku 1990. Oceniliśmy działalność handlową WSS, WPHW, WZSR, Hurtowni Wojewódzkiej Handlu Spożywczego stwierdzając poprawę zaopatrzenia ludności. Przyczyniliśmy się do utworzenia Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich, co rozwinie naszą infrastrukturę. Wojewódzkiego Zakładu Usług Wodnych, odpowiedzialnego za rozwój melioracji i sieci wodociągowej w małych miasteczkach i na wsi. Przyjęliśmy uchwałę o przymusowym zatrudnieniu osób uchylających się od pracy. Na sesję grudniową przygotowujemy raport o stanie sanitarno-epidemiologicznym województwa. W terenie rady narodowe zajmowały się sprawami związków zawodowych, przywracaniem rangi czynów społecznych, statusu konkursu „Gmina — Mistrz Gospodarności”. Niestety, odnotowaliśmy małą aktywność radnych.

Życie osobiste upływało bez zmian. W przyszłym roku życzylbym nowym radnym wykorzystać możliwości nowej ustawy o radach narodowych i samorządzie terytorialnym.

● Jerzy Zientara, wojewoda łomżyński: — „Ciagle coś tu doskwiera, coś się traci, coś niepokoi, przejmuję obawę...” Tak pisał prof. Kotarbiński o życiu człowieka — i każdy myślący przyzna mu rację. Tym bardziej człowiek piastujący jakąkolwiek funkcję kierowniczą.

Miniony rok był dla całego społeczeństwa bardzo pracowity. Możemy już mówić o pierwszych jaskółkach postępu we wszystkich dziedzinach gospodarki łomżyńskiej. Jest to bardzo ważne osiągnięcie, chociaż efekty nie są proporcjonalne do społecznych oczekiwań i faktycznych możliwości. Co cieszy? Łomżyńskie — mimo trudności — nadal znajduje się w czołówce województw w liczbie oddawanych mieszkań na tysiąc mieszkańców, poprawiło się zaopatrzenie rolnictwa w sprzęt, wzrosła produkcja roślinna. Niepokoi — spadek pogłowia trzody chlewnej i skupu żywyca — ogranicza to poprawę zaopatrzenia ludności w żywność, zmniejszyło się też zużycie nawozów mineralnych. Może to już w najbliższym roku spowodować obniżenie plonów.

Rolnictwo jest przykładem typowym: osiągamy postęp, a jednocześnie napotykałyśmy zjawiska niekorzystne — źródła kolejnych problemów. Musimy się z nimi uporać, choć słowo „musimy” nie dotyczy wyłącznie administracji. Po prostu możliwości są ograniczone, a odpowiedź na pytanie: jak je najlepiej wykorzystać, na co przeznaczyć posiadane środki, co jest najpilniejsze — bardzo trudna.

W uchwalonym przez WRN, realizowanym już, trzyletnim planie społeczno-gospodarczym za najpilniejsze uznano rolnictwo i ochronę

zdrowia, lecz równie pilne są przecież: zapewnienie dzieciom warunków kształcenia, przyspieszenie budowy szkół, zwalaszka w Łomży. Każda inwestycja wymaga kredytów, a skąd wziąć pieniądze na spłacenie ich?

Ktoś powiedział, że życie ludzkie składa się z małych radości i większych od nich trosk — łagodzonych przez wrodzony optymizm. Życzylbym wszystkim i sobie mniejszych trosk a większych radości.

● Płk Andrzej Marcinkowski, szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łomży: — Stabilizację życia społecznego widać już gołym okiem. Mamy lepsze od ubiegłego roku wyniki w wykrywaniu i ściganiu przestępstw. Co trzeciego sprawcę pomagało nam wykryć społeczeństwo. To jeszcze jeden przykład, iż wspólnymi siłami zrobimy więcej dla wspólnego bezpieczeństwa i kultury współżycia. Niestety, nadal dużo kradzieży samochodów, kół i innych poszukiwanych części, włamań do piwnic. W roku ustępującym w wypadkach drogowych zginęło 37 osób, a 383 odniosły rany — wskutek nieostrożności kierowców, pieszych, prób łączenia alkoholu z kierownicą. Składam wszystkim funkcjonariuszom MO, SB i ORMO serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne. Społeczeństwu i redakcji „Kontaktów” — podziękowanie za współpracę.

● Wiesław Dębinski, prezydent Łomży: — Rok bardzo pracowity. W ciągu 26 lat pracy zawodowej (ostatnich dwudziestu — w WSS „Społem”) nie poznałem tylu ludzkich trosk i zmartwień. Od stycznia do dziś (15 grudnia 1983) przyjąłem 3 tysiące interesantów, właśnie w najbardziej drażliwych, najtrudniejszych sprawach. Jest mi przykro, że nie wszystkim mogłem pomóc. Mieszkańcy osiedla Południe nie otrzymali obiecanych pawilonów handlowych. Rozbudowujemy miejską bazę komunalną, w starej części miasta odnowiliśmy 26 elewacji budynków. Wkrótce rozpoczynamy remont hali targowej. W życiu osobistym — miałem więcej zwolnień lekarskich. W roku przyszłym życzylbym mieszkańcom większego wyrozumienia dla władz miejskich i więcej pomocy.

● Płk Czesław Krawczyk, zastępca szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Łomży: — Rok ciekawy i obfity w wydarzenia. Najważniejsze z nich, to zniesienie stanu wojennego, choć żołnierze w środowiskach cywilnych pełnią jeszcze wiele powinności z tamtego okresu. Kraj wkroczył na drogę stabilizacji, choć daleko jeszcze do zaufania społeczeństwa wobec polityki partii i rządu. Potrzeba nam silnej woli i dużo optymizmu. Tylko dzięki coraz lepszej organizacji pracy możemy przywrócić równowagę społeczną, polityczną, ekonomiczną. W życiu osobistym — minął 50 rok i 33 rok służby zawodowego żołnierza.

— ▲ —
OSTATNIE w tej kadencji Plenum KW PZPR w Łomży oceniło rozwój kultury fizycznej, sportu i turystyki w województwie łomżyńskim oraz zatwierdziło referat sprawozdawczy ustępującego KW na IV Wojewódzką Konferencję Sprawozdawczo-Wyborczą. Podczas obrad zastrzeżeń nie zgłoszono — członkowie PZPR — otrzymali medale „Za zasługi dla Obrony Kraju” przyznane przez MON: złoty — Mirosław

Szalunas, srebrny — Marian Kosakowski, brązowy — Stanisław Uwalina, Edward Jankowski i Kazimierz Masiuk.

210 DELEGATÓW reprezentujących 3133 członków i kandydatów miejskiej łomżyńskiej organizacji partyjnej podsumowało na Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR (17 XII br.) dorobek dwupółletniej pracy instancji. Fragmenty dyskusji:

▲ Tadeusz Sawicki, dyrektor ŁZPB „Narew”: — Organizacja partyjna musi pełnić funkcję służebną wobec załogi, a jednocześnie jej przewodniczą. Celem działania PZPR i związków zawodowych w zakładzie pracy musi być ochrona ludzi pracy przed wypaczeniami socjalizmu.

▲ Henryk Gała, poeta, członek ZLP: — Martwimy się, że tylu ludzi odeszło z partii, za mało przychodzi młodych. Mierzi nas bierność, obojętność, nieufność. Te bariery można przełamać działając konsekwentnie. Dla mnie najlepszym sprawdzianem jest to, czy bez nas działałoby się coś w określonej dziedzinie, czy nie. Po prostu: co społeczeństwo zawdzięcza nam jako organizacji.

▲ Stanisław Gabryjelski, kierownik Wydziału Społeczno-Zawodowego KC PZPR: — Zbyt mały jest udział robotników w szeregach partii, mało delegatów-robotników na konferencje sprawozdawczo-wyborcze. Ogromny spadek przynależności młodych do naszej organizacji grozi zerwaniem więzi międzypokoleniowej.

Funkcję I sekretarza powierzono Mieczysławowi Czerniawskiemu.

NA KONFERENCJI Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Grajewie (Miejsko-Gminna Organizacja Partyjna liczy 1268 członków i kandydatów: 455 robotników, 99 chłopów, 698 pracowników umysłowych) delegaci uznali za szczególnie ważne zadanie zwiększenie wpływu chłopów i robotników w partii. Dyskusję zdominowały tematy gospodarcze; nadrobienie zaniechan w infrastrukturze, zakończenie budowy hydroelektrowni, budownictwo mieszkaniowe zakładowe i spółdzielcze, uzbrojenie terenów pod budowę osiedla Centrum i w okolicy wsi Koszarówka, wzniesienie nowej szkoły i przedszkoli.

Pierwszym sekretarzem KMG PZPR wybrano ponownie Kazimierza Wądołowskiego.

wieści gminne

MAŁY PŁOCK. Co najmniej kilka budynków z 34 stojących bez dachu można by pokryć eternitem złożonym w GS-ie, gdyby miał on cenę. Przez trzy tygodnie bezskutecznie czekał GS na faktury z fabryki w Małkini. W końcu władze zdecydowały się na rozpoczęcie sprzedaży według cen przewidywanych. Ci, którzy zapłacili więcej niż wynosi cena ustalona przez GS, otrzymają zwrot nadpłaconej sumy. Miejmy nadzieję, że nie będą musieli po pieniądze jechać do Małkini.

● Mazurska Wytwórnia Tytoniu w Augustowie zrezygnowała się i zmieniała pierwotną decyzję: od 1 stycznia wznowi skup tytoniu, ale tylko od plantatorów, którzy pod uprawę przeznaczili więcej niż pół hektara.

● SKR-y w odwrocie? Po prywatnych bazach maszynowych, których działalność chwala rolnicy, kolej na dowóz dzieci. Po złych doświadczeniach z SKR-em transport dzieci do szkoły powierzono prywatnym traktorzystom. Opłata jest mniejsza, punktualność — prawie stuprocentowa.

● Od uroczystości otwarcia szkoły minęło kilka lat, a oczyszczalnia ciągle nieczynna. Szkoła płaci kary za zanieczyszczenie środowiska, a budowlani dumają ponoć nad sensem budowy oczyszczalni. Według projektu — rolę oczyszczacza mają spełnić bakterie, które zimą zamierają.

● „Zakręt śmierci” został zlikwidowany. Chociaż budowa drogi szła jak po grudzie, przed mrozami Rejon Dróg Publicznych zdążył ułożyć pierwszą warstwę asfaltu.

● Nawet różdżkarz miał problemy ze znalezieniem wody. Nie powiódł się plan wydrążenia kolejnej studni głębinowej na placu szkolnym — nie było tam wody. Jak się okazało, występuje ona na polu jednego z rolników, ale ten nie pozwolił wykopać studni głębinowej.

Ciąg dalszy str. 15

OPINIE ROKU

— Ciagle jeszcze mamy działaczy pozornych, pracujących na zasadzie „wysłałem pismo”, „odbyłem naradę koordynacyjną”, „przekazałem”. Podobnie działają niektóre kolektywy uważając, że podjęcie uchwały załatwia wszystko, a to przecież dopiero początek! Nasz organizm społeczno-gospodarczy cierpi na swoiste schorzenie. Jest nim arogancja i ignorancja. Podrywa to zaufanie do władzy ludowej i Partii.

Włodzimierz Michaluk
I sekretarz KW PZPR w Łomży

— Polskę można porównać do wielodzietnej, skłóconej rodziny, gdzie dwoje pracuje, a do obiadu zasiadają wszyscy. Zbyt mało ludzi wytwarza dochód narodowy i to musi się zmienić.

Jerzy Piorunek, pracownik Zakładu nr 2
Białostockich Fabryk Mebli w Łomży

myśl z atestem

„Natura ludzka skłania się ku ładowi. Okoliczności ją ku nieładowi pchają.”
Z myśli Wschodu



Znani są z pierwszych stron gazet, z radia, telewizji, publicznych występów. Czytamy i słuchamy ich i o nich. Są swojego rodzaju elitą polityczną, naukową, kulturalną. W gruncie rzeczy nie wiemy jednak o nich nic. Sztywne, oficjalne słowa przemówień, metafory polityckie, gra na scenie—nie mówią wiele o ich cechach charakteru, usposobieniach, gustach i zainteresowaniach. „Kontakty” postanowiły nieco rozszyfrować tych „nie znanych znanych”, podając ich swoistemu „przesłuchaniu”. Ich listę otworzył Edward Redliński, znany pisarz, mocno związany z naszym regionem. Dziś odpowiada ED-MUND MĘCLEWSKI, poseł na Sejm i wybitny publicysta.

1. Czy kocha Pan siebie?
— Nie BARDZO.
2. Co jest Pańską główną zaletą?
— Że jestem.
3. A wada?
— Że jeszcze będę.
4. Jaką cechę ceni Pan najbardziej:
a) u podwładnych,
b) u zwierzchników?
— a) Samorządność.
— b) Mądrość.
5. Jakich wad życzyłby Pan swym wrogom?
— Moich.
6. Kogo pan bardziej nie cierpi: głupiego przeciwnika czy inteligentnego pochlebcy?
— Ani jednego, ani drugiego.
7. W czym był Pan zawsze najlepszy?
— W optymizmie.
8. Kiedy użycie siły może być usprawiedliwione?



— „Gwałt niech się gwałtem odciska”.

9. Co najbardziej dzieli ludzi: wiek, pochodzenie, pieniądze, światopogląd, stanowisko?

— Głupota.

10. Proszę uzupełnić zdanie: „Idea jest dla człowieka...”

— Zadaniem do zrealizowania.

11. Co jest dla Pana absolutnym arcydziełem?

— Człowiek.

12. W jakim towarzystwie czuje się Pan najlepiej?

— W dobrym, np. „Kontakowym”.

13. Czego najbardziej się Pan wstydi w swoim życiu?

— O tym nie chciałbym głośno mówić.

14. A czym chlubi?

— Aktywną „siedemdziesiątką”.

15. Wylączając Polskę, w jakim kraju chciałby Pan mieszkać na stałe?

— W Polsce naprawdę ludowej.

16. Najwybitniejsza postać w historii Polski?

— Mieszko I.

17. Osoba najbardziej godna pogardy w historii ludzkości?

— Hitler.

PRZESŁUCHANIE

CZEGO CHCIEĆ OD KRASNOLUDKÓW

18. Kiedy człowiek jest bogaty?

— Kiedy jest mądry.

19. Jaka powinna być maksymalna rozpiętość dochodów?

— W granicach zdrowego rozsądku.

20. Czym, według Pana, jest przystosowanie się do sytuacji?

— Zawsze ucieczka do przodu.

21. Czy zawsze wierzy Pan, że $2+2=4$?

— Od finansów jest moja żona.

22. Kto powinien być najlepiej wynagradzany: wybitny naukowiec, artysta, rzemieślnik czy polityk?

— Dobry polityk.

23. W co Pan wierzy?

— W jutro.

24. Czy polityk powinien reformować społeczeństwo zgodnie ze swoimi przekonaniami, czy zgodnie z pragnieniami społeczeństwa?

— Nie powinien być drogowskazem, który pokazuje drogę, a sam jej nie widzi.

25. Gdybym sam decydował o losach kraju, podjąłbym następujące decyzje...

— Niech Polska będzie wdzięczna Bogu, że nie decyduje o jej losach.

26. Jak godzi Pan postawę prywatną z publiczną?

— Nie zauważyłem różnicy.

27. Czy uważa Pan, że w ciągu najbliższych pięciu lat konflikt nuklearny jest możliwy?

— Gdybym tak uważał, powiesiłbym się.

28. Co przychodzi Panu na myśl, gdy słyszy Pan słowa:

a) patriota,

b) komunista?

— Powinny się one uzupełniać.

29. Przywary Polaków to...

— Gadają o Polsce, a o niej nie myślą.

30. A zalety?

— Nie chcą zginąć.

31. Krytyka jest dla mnie...

— Niechętnie widzianą prawdą.

32. O czym chciałby Pan przede wszystkim przekonać Polaków?

— Że Polski nie naprawią krasnoludki.

33. O czym chciałby Pan przekonać samego siebie?

— Że mam rację.



spiećcia



„Od powstania «Kontaktów» nie minęły jeszcze cztery lata, a redaktor naczelny zdolał już sobie sprawić krawat, zachodnią koszulę na talon, parę butów, ostatnio zaś — garnitur. I to wszystko w czasach, gdy innym brakuje na pasek, który mogliby, zgodnie z propagandą prasy, radia i TV, zacisnąć. Skąd on na to bierze?” — postysze- liśmy twardego głosu w słuchawce. Jako że szef jest daleko, gdyż od- płynął właśnie prywatną fregatą, powiemy wprost i bez owijaczy: spekuluje węgą!

*

Na redakcyjnych drzwiach nie- znana ręka wykalgrowała nie- dawno znaczek „Spieć” z podpisem: „Zima wasza — wiosna nasza!” Skoro tak, to prosimy o Baden- Baden lub Alpy. W najgorszym razie — Zakopane.

*

Odwiedził nas młody człowiek z niecodziennym zwierzaniem. Oto pewnego dnia, będąc w stanie pod- ciętym, zaczął udawać dziennika- rza „Kontaktów”. Już na ziemi zdumiony skonkludował, iż dostał potężnie w dziób, z czego wyciąga wniosek, że ulica redaktorów nie lubi. Tymczasem my, jeśli już by- liśmy bici, to tylko przez „szczebel”. Wynika z tego, że „doty” wa- la za fałsz, „gówa” za prawdę, czyli dobry dziennikarz to dziennikarz w Krainie Wiecznych Piór.

*

Od zakończenia remontu „Domu prasy” w Łomży (w którym mieści się również redakcja „Kontaktów”) minęły dwa lata. Do dziś nie było jednak komu zająć się zbryzganymi wapnem i farbą oknami. Chcieli- byśmy przygrzać, słowo Bohu! Nie- stety, kierownictwo rzuciło hasło dnia bez spieć. A to uziemia!

*

Zupełnie niedawno pewne zupeł- nie szacowne gremium poleciło nam się nad sobą zastanowić i zupełnie prywatnie, niejako w duchu, doko- nać samooceny. Informujemy więc, iż do zadania przystąpiliśmy na- tychmiast z całą rzetelnością, czego dowodem są obszerne materiały analityczne. Czekamy zatem na dyspozycje: ma być na „tak” czy „nie”?

*

Drogi Czytelniczku! Wielce Sza- nowni Czytelnicy!! Zdajemy sobie sprawę, że wierne towarzyszenie „Spiećciom” rodzić w Was mogło niekiedy niewesołe odczucia. Z tym większą więc radością możemy Wam dziś powiedzieć, iż miniony rok zakończył się pełnym, niepod- ważalnym i zasłużonym sukcesem: słońce weszło trzysta sześćdziesiąt pięć razy, nie spóźniając się ani minuty; zachowana została, mimo obiektywnych trudności, rytmiczna przemienność dnia z nocą; zgodnie z planem w lipcu zakwitły lipy, w listopadzie spadły liście, a w gru- dniu wystąpiła gruda. Jeszcze opty- mistycznie zapowiada się rok przy- szły. Oto — jak się dowiadujemy — w oparciu o szczegółowe wy- tyczne, wypływające z wniosków i postulatów ludności, zapadła długo oczekiwana decyzja, dzięki której po wiosnie nastąpi lato, potem je- sień i zima. A więc — DO SIEGO!

Lek. med. ZBIGNIEW RAWA: — Czy pani wie, dlaczego młodzi tańczą teraz na odległość? Ponieważ życie seksualne zaczynają wcześniej i sub- telne zbliżenia w tańcu już nie są im potrzebne.

STEFANIA HENCZELOWA: — Wyda- wało mi się, że lekarze są cyniczni, ale nie w ten sposób.

Z.R.: — To wcale nie jest cynizm, lecz gorycz. Przykro mi myśleć o tym, że młodzież szybciej dorasta do seksu niż do poglądów. W ogóle ma przekopany system wartości, ze sto- sunkiem do nauki włącznie. Ale też rzadko się zdarza taki pedagog czy wykładowca, który by szukał w swo- im zajęciu czystej satysfakcji. A gdyby jeszcze się przyjrzeć ambicjom młodych i ich ideałom...

Zaraz po wojnie inny był nasz stosunek do wiedzy. Zdystansowani przez naukę światową i europejską, pozbawieni bazy naukowej, garneli- śmy się do książek z wielkim zapa- lem. Nauczyciele ofiarne i z przy- jemnością wykładali, uczniowie z przyjemnością i zrozumieniem trud- ności się uczyli. Warszawa była zniszczona, komunikacja sparaliżo- wana; trzeba było na zajęcia kurso- wać trzy razy dziennie i wracać do domu późnym wieczorem. Nie było właściwie czasu na radości poza- uczelnicze, co najwyżej na trochę sportu i działalności w Kole Medy- ków.

S.H.: — Czyli nadal w pobliżu Akade- mi. Fanatyzm zawodowy? U jego źró- deł musiało być tzw. powołanie.

Z.R.: — Żadne powołanie, lecz tra- dycja rodzinna i wynik napatrzenia się na wiele wojennych nieszczęść.

WARTOŚCI MOJEGO ŻYCIA

NIE WIERZĘ W ŻYCIE POZACHIRURGICZNE



Myślałem wtedy: „Jako medyk mo- gę być najbardziej potrzebny”. A o specjalności zadecydowała pleć; nie- miał wszyscy chłopcy, którzy mieli po dwie silne ręce, szli na chirurgię. Przekonanie o tym, że nie istnieje życie pozachirurgiczne, nabyłem do- piero w czasie pracy w szpitalu łom- żyńskim, dokąd zostałem po studiach skierowany. Wypełniłem tym życiem 25 lat, bez przerwy na administro- wanie szpitalem, bo i wówczas (przez 12 lat) ordynowałem bezpo- średnio oddziałem chirurgii.

S.H.: — W co zatem wyposażyli Pana lata studiów, jeśli nie w zamiłowanie do zawodu?

Z.R.: — W dobre podstawy do każdej pracy: ciekawość wiedzy, wy- trwałość, sumiennosc i nieliczenie czasu na godziny, lecz na dokona- ne zamierzenia. Z takim wyposaże- niem łatwo mi było pełnić w szpi- talu nieustanną dyżur, ponieważ do roku 1965 mieszkalem w jego bli- skim sąsiedztwie (mieścił się wów- czas przy ul. Szpitalnej). Ale wynio- słem coś jeszcze z czasów mojego studiowania. Był to niezmiernie

ważny dla gospodarki narodowej, a dla nas, młodych, ciekawy i bogaty w emocje, okres. Na naszych oczach materializowały się założenia planu 3-letniego, potem 6-letniego, przy czym czuliśmy się ich współrealiza- torami. Tak dalece identyfikowali- śmy swój los z życiem kraju, że nigdy nie przyszłoby nam do głowy egzystowanie poza nim; każdy chciał zdobyte umiejętności spożytkować dla jego dobra.

Rozstanie z paroma marzeniami w roku 1956 przeżyłem równie cięż- ko, jak pożegnanie z chirurgią w roku 1977. Jeszcze uprawiam tzw. małą chirurgię i podczytuję prace teoretyczne, ale wiem, że ten roz- dział mojego życiorysu jest już defi- nitivnie zamknięty. A że nadal lu- bię być użyteczny, swoje ambicje społecznikowskie realizuję w Zarzą- dzie Wojewódzkim PCK, gdzie zaj- muję się szeroko pojętą profilakty- ką, czyli metodami zapobiegania chorobom i plagom społecznym.

S.H.: — Czy jest taki moment, od któ- rego Pan chciałby powrócić tyte?

Z.R.: — A po co? Tego mogą

pragnąć ludzie, którzy odkładali wszystko na jutro. Trzeba godnie i tak mądrze żyć każdego dnia, aby nie stracić szacunku dla siebie i nie przekreślić wszystkiego, co się do- tychczas zrobiło, także metodą prób i błędów. Najwyżej u człowieka ce- nie fachowość w obranym zawodzie, do czego potrzebny jest talent i duży wysiłek. Skoro jednak nie wszyscy mogą być fachowcami, niech będą przynajmniej uczciwymi ludź- mi.

S.H.: — Czy możemy już przejść do tematu moralności lekarza?

Z.R.: — Ile razy widziała pani śmierć: dwa, trzy? A ja bardzo du- żo. Kiedy pani mi w tym dorówna, wówczas porozmawiamy o etyce le- karza.

S.H.: — Przecież to nie ja będę o niej mówić... Najwyżej przypomnę na marginesie, że jeśli zechce Pan mówić o moralności dziennikarza, nie każe Pa- nu przedtem napisać kilkuset czy choć- by kilkudziesięciu tekstów. Obie profe- sje są wyjątkowo „publiczne” i dlatego każdy rości sobie prawo do ich oceny.

Z.R.: — Zgoda, zatem pomówmy o etyce. W medycynie, poza przy- sięgą Hipokratesa, zasadza się ona, tak jak w wielu innych profesjach, na zwykłym, ludzkim sumieniu. Mo- że być ono wrażliwe, wyrobione, rozbudzone itp. lub uspione, zatwar- działe, niewzruszone, czy jak kto tam chce. Ważny jest stosunek le- karza do człowieka, który znajduje się w trudnym okresie swego życia: niesprawności fizycznej, smutku, przybicia, strachu. Właściwie pacjent niewiele wówczas od służby zdro- wia wymaga: jedynie życzliwości.

S.H.: — Czy nie za mało? Przecież strach chorego nie wynika z braku życz- liwości, lecz z obawy, że lekarz, ostatnia instancja przed Bogiem, jak myślą lu- dzie wierzący, zawiedzie.

Z.R.: — Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego każda śmierć robiła i robi na mnie duże wrażenie; czuję się po niej jakoś nieswojo, mimo że nie ma podstawy do wyrzutów su- mienia: gdy chory był moim pacjen- tem do ostatniej chwili starałem się go ratować, choć często już bez żad- nej nadziei, bo medycyna jeszcze w wielu przypadkach jest bezsilna. A życzliwość lekarza rozumiem w ten sposób, że nie tylko po ojcowsku traktuje chorego, lecz także wyko- rzystuje dla jego dobra wszystkie swoje doświadczenia i umiejętności.

S.H.: — Jeśli je posiada.

Z.R.: — Nie zakładam w ogóle ta- kiej możliwości, że ich nie posiada. Natomiast chciałbym wynegocjować zupełnie co innego: potrzebę spoj- rzenia na lekarza jak na człowieka z krwi i kości, a przez to zrozumie- nia, że on również ma prawo do gorszych dni, złego samopoczucia, niepowodzeń prywatnych i słabości. Oczywiście, nie myślę tu o tego ro- dzaju słabościach, jak obolałe ambi- cje, które każą np. chirurgowi traktować salę operacyjną jak tor wyścigowy, skąd pacjent wycho- dzi ładnie zszyty, ale niedokładnie zoperowany, lecz o takich, które go stawiają w rzędzie zwykłych śmiert- elników. Zresztą, to nieprawda, że faworyt „torów wyścigowych” pozo- staje bezkarny, choć takie wrażenie robi na zewnątrz mur tajemnicy, na- zwany solidarnością zawodową. Środowisko nasze nie pobiła i nie może pobić tzw. pomyłkom, bo są one zbyt kosztowne społecznie. Z drugiej strony, według mnie, wyżej należy cenić nieperfekcjona- listę, który często zasięga opinii ko- legów, niż indywidualistę, któremu się wydaje, że wszystko wie najle- piej, a przecież nie ma ludzi nie- omylnych.

S.H.: — Kiedy lekarzowi ręce opadają?

Z.R.: — Najczęściej wówczas, gdy odpowiada nie za swoje grzechy. Przecież tłok w przychodniach i szpitalach nie wynika z winy służ- by zdrowia. Ludzie chorują z róż- nych powodów: frustrują się w pra- cy i w rodzinie, nabywają choro- by zawodowe, łapią zarazki od no- sicieli, są gryzieni lub zarażeni przez zwierzęta, trują się wodą i powie- trzem. Wszystko to ostatecznie zwa- la się na głowy lekarzy, bo na pro- filaktykę nie zawsze nas stać albo ktoś zapomina o swoich obowiąz- kach. Nikt nie zastanawia się nad psychiczną i fizyczną wytrzymało- ścią lekarza, który świadom kruchoci życia, pragnie oddalić od czło- wieka tę ostatnią, dramatyczną chwilę; tym dramatyczniejszą (co wiem już na pewno), że każdy u- miera w samotności.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Zofia i Eugeniusz Moniuszkowie z Jurca Szlacheckiego mają razem 144 lata. Wychowali sześćoro dzieci: najstarszy, Edward, jest inżynierem w Warszawie; Wiesław, też inżynier, dyrekturuje o-
lektorem POZH; Witold jest wziętym krawcem w Zielonce; Halina, technik ekonomista, mieszka w Izabelinie; Michał wziął schedę po ojcu i godnie go zastępuje na ponad 30 hektarach; najmłodsza, Urszula, jest ogrodnikiem w Niepokalanowie.

Wszyscy — wraz z dziećmi — zjechali do Jurca z okazji złotych godów rodziców. Ksiądz pobłogosławił sędziwą parę, a wszyscy życzyli jej doczekania brylantowych godów. Redakcja przyłącza się do tych życzeń.

tekst i zdjęcia
Gabora Lőrinczego

RODZINNY ZJAZD

kontakty kontaktów

Zyję w bardzo ciężkich warunkach mieszkaniowych. Stary, drewniany dom, w którym mieszkam, nie nadaje się w ogóle do spełniania swojej roli. Częściowo się zawalił. Do tej pory było już wiele komisji, ale nie przyniosły one żadnego skutku. Nie mogę otrzymać mieszkania, choć prezydent naszego miasta dobrze zna moje warunki.

Dom, w którym mieszkam, przeznaczony jest do rozbioru. Decyzję o tym posiadam już ponad rok. Na mieszkanie spółdzielcze wpłaciłem w 1979 roku, ale jakoś nie mogę go otrzymać. Znowu zima przed nami. Jak mam mieszkać razem z dziećmi w takim mieszkaniu? Poradźcie, co mam robić.

TERESA LATKOWSKA
ŁOMŻA

Wydział Gospodarki Terenowej Urzędu Miejskiego w Łomży informuje, że obywatelka Teresa Latkowska może być skierowana do przydziału mieszkania spółdzielczego w bieżącym roku bez wymaganego okresu wyczekiwania.

Ustaliśmy, że obywatelka jest właścicielką połowy działki położonej przy ulicy Kwadratowej 23 w Łomży. W związku z tym skonsultowaliśmy się ze Spółdzielnią Mieszkaniową, czy w świetle powyższego może być jej przyznane mieszkanie spółdzielcze. Łomżyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa udzieliła informacji, że osoby figurujące w rejestrach podatkowych jako właściciele nie mogą otrzymać przydziału na mieszkanie (obywatelkę Teresę Latkowską poinformowaliśmy o tym 21 listopada bieżącego roku).

Jesteśmy skłonni dokonać skierowania na przydział mieszkania spółdzielczego dla obywatelki Latkowskiej w wypadku, gdy przestanie ona być właścicielką połowy działki przy ulicy Kwadratowej. W przeciwnym razie proponujemy przydział mieszkania zastępczego z budownictwa starego.

mgr BARBARA MONIAK
KIEROWNIK WYDZIAŁU
GOSPODARKI TERENOWEJ
UM w ŁOMŻY

— ◇ —

Wraz z ojcem gospodaruję na około dwudziestohektarowym gospodarstwie rolnym. Ojciec jest kombatanem o widocznym kalectwie — ma bawłową rękę. Ja jestem młodym rolnikiem i następcą ojca.

„Gazeta Współczesna” z bieżącego roku donosiła, że — według ustaleń obywatela wojewody — maszyny rolnicze w pierwszej kolejności będą otrzymywali: posiadacze gospodarstw rolnych powyżej 20 hektarów, kombataneci oraz młodzi rolnicy. W moim przypadku były spełnione wyżej wymienione warunki, a jednak obywatel naczelnik zignorował moje i ojca podanie o przydział sadzarki traktorowej do ziemniaków. Maszyny nie otrzymałem i złożyłem odwołanie do obywatela wojewody, ale do tej pory nie mam żadnej odpowiedzi.

KAZIMIERZ i JÓZEF DOŁĘGA
RUTKOWSKIE
gmina WIZNA

— ◇ —

Za pośrednictwem tygodnika „Kontakty” dziękuję kierowcy taksówki numer 43 z Łomży za okazaną mi pomoc w dniu 17 listopada br. Wówczas taksówkarz zmienił koło w moim samochodzie i tylko dzięki niemu mogłam razem z dzieckiem dojechać do domu.

Fakt ten utwierdził mnie w przekonaniu, że są jeszcze dobrzy ludzie, na których pomoc można liczyć.

JANINA NAROLEWSKA
ŁOMŻA

Franciszek R., ksywa „Rumcajs”, z taką pilnością wpatrywał się w wystawę kiosku, jakby jego życie zależało od ustawionych na półkach drobiazgów. Jednak kątem oka bacznie obserwował zaopatrujących się w papierosy i gazety pracowników pobliskiej instytucji. Jeszcze tylko jedna kobieta z rozwrzeszczanym bachorem i pod kioskiem zrobiło się pusto.

— Najpiękniejsza, jest spirytus? Nie ma? A woda brzoza? Też nie? Nic nie ma? — pytał z przymilną nadzieją — A co jest to zielone?

— Wegetał do włosów.

— Dobrze to?

— Skąd mogę wiedzieć, nie próbowałam!

„Rumcajs” zdecydował się na jedną flaszkę. Za pobliskim pawilonem spożywczym zielonkawy płyn szybko zniknął w spieczonym gardle. Nie poczuł nawet smaku, tylko w głębi żołądka coś zabulgotało.

— Nie najgorszy wynalazek, że bym tylko nie dostał sraczki — przemknęło mu przez głowę wydarzenie sprzed kilku miesięcy, kiedy to wypili wieczorem z „Łysym” sześć litrów nastawionego wieczorem bimbru. Gonili ich przez całą noc i następny dzień.

Zapalił „przygaszeńca”, przeliczył moniaki; wystarczyło jeszcze na cztery butelki. Będzie więc miał „paliwo” na cały dzień i jutro rano. Potem jakoś sobie poradzi. Tymczasem można iść do „domu”, coś przegryźć.

Jeszcze w zawodówce spodobała mu się jedna miastowa. Nie chciał

niez nie pomogło. Przespał się na ławce. Rano stwierdził, że zamek jest zmieniony, a drzwi opatrzone dodatkową klódką. Czekał do popołudnia po to, aby dowiedzieć się, że jest śmierzącym capem, darmozjadem, a ona nie ma zamiaru dłużej pracować jego zasranych gaci, więc najwygodniej będzie mu u tatuńcia za oborą. Nie pomogły próśby i groźby. Przygarnął go koleś, kwateryjacy w przeznaczonym do rozbioru baraku. Przyjaźń skończyła się nagle, kiedy kumpel sprzedał jego — niezłe jeszcze — spodnie. Zmienił „kwatere”.

— Kiedyś jeszcze przed wprowadzeniem „prohibicji” kupowałem za zarobione u ogrodnika pieniądze piwo. Patrzcie, ludzie jakoś się ode mnie odsuwają. robią mi w kolejkę miejsce. Zawstydzili się i momentalnie wytrzeźwiałem. Usiadłem w parku na ławce i popatrzyłem na bawiące się dzieci. Wiele z nich było tylko z matkami. Jakiś chłopczyk podszedł do mnie, stanął i zaczął mi się przyglądać. Po chwili podbiegła kobieta i zaczęła się nad nim wytrząsać: „Odejdz, dziecko, od tego obszczyrka!” Całe szczęście, że nie byłam wtedy jeszcze nadzianym. Zamiast posłać jej wiachę, zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że ludzie omijają mnie, jakbym był parszywy. Na drugi dzień poszedłem do przychodni i zrobiłem sobie wszywe.

Zaczął pracować w budownictwie, trochę się ogarnął. Myślał: „Uciulam trochę grosza i wyjadę na Śląsk, tam się gdzieś

które latem wyprawiał się do ogrodników.

Przełaził przez plot i odgarnął zeschnięte pokrzywy. Zjadł, kupioną po drodze, ciasteczkę chleba i trzy kwasiaki, popił vegetalem. Pozostałe trzy butelki wepchnął głęboko (wróci po południu, kiedy trochę się prześpi), zamaskował schowek i — noga za nogą — powlókł się na mecie.

Mieszkał teraz u „Skrzypka”, którego z dziesięć lat temu rzuciła żona, zostawiając mu lokal. Zgodził się na tysiąc złotych komornego miesięcznie, ale „Muzykant”, który udaje dobrego kumpla, jest jednak złodziejem. Okrada „Rumcajsa”, „Chudego” i „Mańka”, którzy również korzystają z jego gościnności. „Muzykant” pobiera komorne regularnie, oprócz tego — jeszcze kilka razy w miesiącu, gdy tylko u któregoś z nich wyczuje trochę grosza, stara się go schlać, po czym robi w kieszeniach rabację i napuszcza na drugiego.

— Którejś nocy obudziły mnie śmiechy. „Skrzypek” z tą swoją larwą przyprowadził jakiegoś jelenia. Zaprośli i mnie. Myślę sobie: „Okazja, darmowa gorzałka”. Rano nie mogłem znaleźć swoich nowych pantofli, za którymi dwa dni stałem w kolejce. Potem „Chudy” powiedział mi w tajemnicy, że „Skrzypek” za pół litra spuścił je jakimś frajerowi, który wieczorem szukał na godzinę przytuliska z taką jedną. Trudno to wytrzymać, ale nie mogę podskoczyć, bo gdzie będę mieszkał?

W ciemnym korytarzu namacał kłamekę i przez śmierzące pomieszczenie — w którym jedyne sprzęty stanowiły kaflowa kuchnia i stojące w kącie, w kałuży moczu, wiadro — potoczył się po „pokoju” i w ubraniu wyciągnął się na wyrze, przykrywając się połówką czegoś, co bardzo dawno temu było koldrą.

On się jeszcze na tym skurwielu odegra. Na zimę musi koniecznie coś wykombinować. Nie wystarczy zbić gdzieś w mieście szybę, bo jak się trafi na młodego proroka i jakiegoś szczeniaka sędziego, to można siedzieć dłużej niż do wiosny. Jutro raniutko pójdzie na panoramę i na stadion pozbiierać fajansy. Może i pod most zdąży...

Wokół rynku jest kilkadziesiąt melin. W niektórych podworkach nawet po kilka — objaśnia mój „przewodnik”, Mirek K., pseudo „Joker”. — Latem królowali tu obnośni sprzedawcy piwa. Postawisz browarek, to pogadamy i będziemy dalej zwiedzać.

„Joker” zna wszystkie mety, chociaż nigdy z nich nie korzystał. Wyślał tam swoich klientów, gdy mu zabrakło towaru.

Obiecuję, że piwko będzie, chociaż co i raz odbija mi się „zupa chmielowa”, skonsumowana (żeby nie wzbudzić podejrzeń) w cuchnącej pomyjami kuchni babci Zielińskiej, gdzie na workach z suchym chlebem i kaszą (chyba obok słoika ze spleśniałymi ogórkami) miałem przyjemność ścisnąć obrzydliwie wilgotną prawicę „Kulawego”, który przez dwie minuty próbował bezskutecznie dosięgnąć — stojącą na kredensie — butelkę z fullem, a kiedy mu się to w końcu udało, połowę jej zawartości, zamiast do zaślumaczonej geby, wlał sobie wprost za koszulę.

Było mi więc bardzo na rękę, kiedy „Zajzajer” zaferował do wyboru jedynie wino owocowe (trzysta złotych za flaszkę) oraz monopolówkę (za osiem stów), bo na piwo od bieddy wyskrobałbym jeszcze parę groszy, ale komercyjne ceny wina i wódki to już nie na moją kieszeń; ponadto win owocowych nie pijam z zasady, a wódki — przed południem.

To samo powtórzyło się u Mańka. Był jednak na tyle uczynny (nie bał się konkurencji), że skierował nas na drugie podwórko, pierwszy korytarz na prawo, i — do wyboru — pierwsze drzwi po lewej lub drugie po prawej ręce.

„Agent” po lewej, widząc moją nieznaną maskę, bezradnie rozłożył ręce. Walimy więc w drugie — po prawej. A jakże, pod Chrystusem ukrzyżowanym, na szafce, stołca baterią butelek, tyle że pustych. Na stołku siedzi, uśmiechnięty od ucha do ucha, gospodarz; nalewa do musztardówki wino i obdusza — śledząc na zapadniętym tapczanie — towarzystwo: dwóch panów i panią. Browarku, niestety, nie ma, ale może poczęstować doskonałym winkiem.

Jesteśmy za biedni na winko — szybko gaszę nadzieję „Jokera”



wrócić na wieś i babrać się w gnoju. Życie w mieście wydawało mu się wtedy lżejsze i weselsze. Ożenił się nie kończąc nawet szkoły. Szybko dorobili się dwojga dzieciaków, ale wkrótce małżeństwo stało się piekłem. Coraz częściej urywał się z kumplami.

Kiedyś po pijaku zwinęła go milicja. Początkowo nie bardzo kapował, o co chodzi, ale wkrótce dowiedział się, że „wyreperowali” piwnicę, w której jakiś nieostrożny facet trzymał gasiorek z winem. Tym razem jeszcze sąd potraktował go łagodnie; młody wiek i dotychczasowa niekaralność przesądziły o wyroku w zawieszeniu. Przestraszył się, ale po niedługim czasie wszystko wróciło do normy. W końcu trafił więc do „schowka” i „odgarował” półtora roku.

Po wyjściu na wolność dowiedział się, że żona miała przyjaciela. Najpierw wpadł we wściekłość, ale potem wykalukował sobie, że odplaci jej pięknym za nadobne. Przyjaciółki są jednak kosztowne. Wynosił z domu co lepsze ciuchy żony i dzieci, po czym sprzedawał za grosze. W końcu przyszła kolej na radio i telewizor.

Pewnej nocy nie mógł otworzyć drzwi mieszkania. Łomotanie rów-

załapie, nikt mnie nie zna, więc zacznę od nowa”. Któregoś dnia po robocie, gdy mylił się w korycie, kumple zauważyli bliźnię po wszywe. Zaczęły się drwiny i docinki. Przy pomocy kolegów dokonał operacji wydlubania procha, który u wierzał go od dwóch miesięcy. Przez kilka następnych dni, które jeszcze wytrzymał bez wody, utwierdził się w przekonaniu, że panuje nad swoją wolą, jest wyleczony i niepotrzebne mu żadne „zastawki”.

Jednak w dzień wypłaty postanowił się sprawdzić i na początek wypił piwo. Po chwili pociemniało mu w oczach, zabrakło w piersiach tchu, a całe ciało pokryło się czerwonymi plamami jak u świniaka chorego na czerwonkę. Myślał, że są to jego ostatnie minuty i za chwilę walnie w kalendarz. Ale kumple polali go wodą i jakoś mu przeszło. Widocznie esparal nie do końca rozpuścił się w organizmie. Następnym razem obyło się bez sensacji.

Jak żyje, tak żyje, ale żyje. Najważniejsze, że na dziś i jutro rano ma zapewnioną porcję uzdrawiającego płynu, którym nie zamierza się z nikim dzielić. Schowa go pod dechami w ogrodzie, czyli w swojej spiżarni, gdzie stoją jego zapasy: kilkanaście weków z ogórkami, po

— To może ten naprzeciwko —
usłusznie radzi gospodarz.
— Myśmy już u niego byli.
— To tak? Najpierw do niego, a
jak nie ma, to do mnie? Spierdalać!
Skwapliwie wykonujemy polecenie.
Spoglądam na zegarek; za pół
godziny zacznie się sprzedaż alko-
holu w sklepach.
— Widzisz, pani już nie mają pi-
wa. Po niedzieli rano wszystko im
poszło, na pewno gdzieś do dzie-
wiatej, dziesiątej — tłumaczy „Jo-
ker”.

Idziemy do „Samu”. Przed na-
mi trzech znajomych „Jokera”,
każdy wyposażony w pokaźną
szmacianą torbę. — To są „ludzie”.
Oni idą po towar dla meliniarzy
— mówi „Joker”.

W sklepie spora kolejka — ponad
dwadzieścia osób. Na pozycji lidera
starsza kobieta, potem chłopiec, na-
stępnie pani Zosia (tak wynikało z
rozmowy, jaką zabawiła się z ekspe-
dientką), emerytka, trzech „rencis-
tów”, przestępujący z nogi na nogę
pan w eleganckim waciaku (jemu
przy pracy wódka nie przeszkadza,
a wręcz przeciwnie, działa rozgrze-
wająco), znowu emerytka, dwóch
„ludzi pracy” w wysmalcowanych
kombinezonach (picie w pracy nie
jest stratą czasu, ponieważ liczy się
do emerytury), jeszcze kilka osób,
no i na końcu ja z „Jokerem”.

Dokładnie o 12.55 ekspedientka
rusza na zaplecze; w kolejce robi się
ruch. Ci z czołówki szykują prze-
pasciste torby. Po chwili na stoisko
wjeżdża wózek z kilkoma skrzynka-
mi „Baltic vodki” (tej samej, której
licencję zakupili od nas przed kil-
koma laty — produkujący doskona-
łą śliwovicę — Jugosłowianie) po
558 zetek za butelkę. Handel idzie,
aż miło. Emeryci i renciści ładują
w torby hurtowe ilości napoju. Przy
okazji wydaje się, że stojący przed
panią Zosią młodzian jest jej ro-
dzonym synem, który pomaga ma-
musi w zakupach; chodzi o to, że

taniej wódki starcza przeważnie
tylko dla tych pierwszych z kolejki.
Dzisiaj jednak gorzałki jest w bród.
Ten w waciaku i ci w kombine-
zonach biorą po dwie połówki i po
kilka ptyw.

Wreszcie nasza kolejka.
Kumpel „Jokera” do niedawna
jeszcze sprzedawał piwo z teczki.
Dziwne — a ściślej: między szóstą
a ósmą rano — puszczał po dwie,
trzy skrzynki po 40 złotych za bu-
telkę. Dwudziestozłotowy zysk na
każdej flaszcze zapewniał mu dzien-
ny utarg w wysokości blisko pół-
tora tysiąca.

Rzadko kiedy o dziewiątej rano
miałem jeszcze towar. Staralem się
handlować szybko, bo za moich cza-
sów w sklepach można było kupić
piwo już o ósmej. Teraz meliniarze
mają labę, targują do 13.00, to i ob-
rotu są większe. Ci, co handlowali
w mieszkaniach, wyciągali po trzy-
cztery tysiące, ale i ryzyko większe.
Meliniarz nie sprzedaje nieznajome-
mu. Przyjdiesz i spytasz o piwo,
powie: „Panie, pan pomylił drzwi”.

Wiesz, szkoda mi tych ludzi —
mówi „Zyleta”. — Byłe jak
żyją i strasznie śmierdzą; koł-
nierzyki ich koszul trzeba by skro-
bać łopatą. Cieszę się, że z tym zer-
wałem, chociaż nie było mi łatwo.
Idziesz do pracy, a tu kumple wo-
łają na browarek. Dobrze, ale tyl-
ko jeden. Jak zassiesz, patrzysz, już
trzecia. Bo to tak: jedno piwko, dru-
gie piwko i fajno jest, świat różo-
wy i taki jakiś inny. Ale rano bu-
dzisz się, a leć trzeszczy jakby
tam, kurwa, z tuzin czołgów jeździ-
ło. Więc na kaca piwko, potem ja-
kiś jabłok i znowu karuzela we łbie.
I tak pijesz miesiąc, dwa, rok, po-
tem nagle, kurwa, białe myszki. O
kurwa, dość! Ale jak przerwać trans?
Przez cały czas wydaje ci się, że
inni są alkoholikami, a ty możesz
w każdej chwili przerwać, masz sil-
ną wolę. Gówno prawda. W prze-
blysku trzeźwości prosisz żonę, żeby

poszła z tobą do przychodni, bo sam
w siebie nie wierzysz. Potem, już z
receptą w kieszeni, idziesz do apte-
ki, a tam kolejka. Więc żeby skró-
cić oczekiwanie, wyskakujesz na to
jedno, jedyne, ostatnie w życiu, piw-
ko. I nosisz receptę tydzień, miesiąc,
pół roku... Znowu trzeźwiejesz: o
kurwa, jaki ja jestem chudy, skóra
i kości. Dość! No, dobrze, wszywasz
sobie procha. Ale ja mam takie
ciało, że mi się nie przyjmuje. Ro-
pije, ropieje i wypada. Za dużo
mam w sobie gorzały czy co? Dokąd
„to” siedzi, masz świadomość, że
jak wypijesz, to po tobie.

Raz zrobiłem doświadczenie: po
drugiej wszywie nie piłem pół roku.
Nabuzowałem się w swoje imieniny.
Kiedy ocknąłem się patrze, pięć dni
minęło! Wyobrażasz sobie: zleciało
jak pięć godzin! Zauważyłem wtedy
dziwną rzecz: przez cały czas, po-
mimo utraty świadomości upływu
czasu, wiedziałem, co się ze mną
działo, bo było nas jakby dwóch:
jeden pił, a drugi go obserwował i
szydził. Rozdwojenie jaźni, kapu-
jesz?

Kumpel „Jokera” od kilku miesi-
cy znów nosi receptę w kieszeni.
Tym razem brakuje leku w apte-
kach. Chodzi więc od czasu do czasu
do przychodni na anticol, którego
też ostatnio brakuje, więc wydzielają
po pół tabletki. Ma mniej szczęścia
od tych skierowanych przez komi-
sję; tamtych łapie po bramach mili-
cja i podwozi do przychodni.

— Tak, apteka. Słucham? Niestety,
nie mamy, niech pan dowie się na
Giełczyńskiej, to duża apteka.

— Apteka na Giełczyńskiej. Nie
ma. Nie wiem, kiedy będzie. Od
sierpnia dostaliśmy dwa opakowania,
i to na interwencję Poradni Zdro-
wia Psychicznego.

JERZY PORĘBSKI
Fot. GABOR LORINCZY

Kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
25—31
XII 1983

Codziennie dojeżdżam do pracy.
Posiadam bilet miesięczny na au-
tobus i zaświadczenie nr 049457 z
wyznaczoną godziną powrotu —
15.15. Jednakże w rzeczywistości
moje dokumenty są fikcją, gdyż
kierowca autobusu jeżdżącego na
trasie Łomża—Siemień ma swoje
własne przepisy. Otóż z przystan-
ków zabiera tylko kogo chce, a
szczególnie tych, którzy nie mają bi-
letów, gdyż to się mu bardziej o-
placa.

Tak też było pod koniec ubieg-
łego miesiąca, kiedy chciałam wró-
cić do domu o godzinie piętnastej
piętnaście. Kierowca zabierał wszy-
stkich pasażerów bez biletów i
wcale nie zwracał uwagi na mo-
je tłumaczenie, iż posiadam bilet
miesięczny właśnie na tę godzinę
odjazdu. Ponieważ powiedział, że to
go nie nie obchodzi, do autobusu
weszłam przez siłę. Wtedy kierow-
ca zażądał okazania biletu i za-
świadczenia. Kiedy pokazałam mu
te dokumenty, schował je do kie-
szki i odgrażał się, że jeżeli jesz-
cze kiedyś będę chciała jechać tym
autobusem, to pozabawi mnie ich na
zawsze. Do dziś nie rozumiem dla-
czego, przecież jechałam o wy-
szczególnionej na bilecie godzinie.

Bilet i zaświadczenie otrzymałam
dopiero następnego dnia po inter-
wencji w Przedsiębiorstwie PKS w
Łomży. Wówczas zaznaczono na
moim zaświadczeniu, iż mogę jeź-
dzić tylko autobusem relacji Łom-
ża—Zambrów. Przy rejestracji nikt
nie zaznaczał dokładnie tras na bi-
letach, więc uważam, że teraz zo-
stało to zrobione złośliwie.

Tego samego dnia, kiedy mnie
spotkał ten przykry wypadek na
trasie, zaprezentowany już kierow-
ca wywiózł troje dzieci (Jolantę
Zoń, Martę Borawską, Marzenę
Just), które wracały ze szkoły z
Łomży do domu w Starej Łomży,
aż do Pniewa.

Marzę o tym, aby autobusy by-
ły kiedyś rzeczywiście państwową
własnością, a nie prywatną, i aby
przepisy były jednakowe dla wszy-
stkich.

ALICJA OGONOWSKA
ŁOMŻA

— < —

Pracowałam w Zambrowskich Za-
kładach Przemysłu Bawełnianego
im. Rewolucji Październikowej w
Zambrowie. Kiedy urodziłam dzie-
cko, które w tej chwili ma dwana-
cie miesięcy, przerwałam pracę. Do
maja bieżącego roku otrzymywałam
zasilek wychowawczy, a od wrześ-
nia tylko rekompensatę. Kiedy in-
terweniowałam w swoim zakładzie
pracy, poproszono mnie o dostar-
czenie zaświadczenia o pracy me-
ża.

Mąż przez sześć miesięcy praco-
wał w Zambrowskich Zakładach
Przemysłu Bawełnianego, ale ze
względu na niskie zarobki zwolnił
się i podjął prywatną pracę w
szklarni. Po czterech miesiącach
wrócił do państwowej pracy i obec-
nie jest robotnikiem budowlanym.

Do biura dostarczyłam zaświad-
czenie o pracy męża, ale do tej
pory z niewiadomej przyczyny nie
wypłacono mi zaległego zasiłku.
Prosiłam o pomoc dyrektora zakła-
du i sekretarza, ale i oni mi nie
pomogli. Żyję więc w ciężkich wa-
runkach materialnych, a ze względu
na małe dziecko nie mogę pójść
teraz do pracy.

BARBARA SKOWROŃSKA
ZAMBROW

— < —

Za pośrednictwem tygodnika
„Kontakty” składam serdeczne po-
dziękowanie delegacji Cechu Rze-
miost Różnych, krawcom łomżyń-
skim, krewnym, sąsiadom, przyjacio-
łom i znajomym, którzy w ciężkich
dla mnie chwilach okazali serce,
życzliwość i pomoc oraz uczestni-
czyli w ostatniej drodze najdroż-
szego męża śp. Kazimierza Radzi-
wanowicza.

JADWIGA RADZIWAŃCZ
ŁOMŻA

opowiadanie





Stara kołeda kurpiowska

Ścieszliwe Betleem! miasto Dawidowe!
Ze się nam zjawilo odkupienie nowe.
Chrystus się narodzil,
By nas wyswobodzil
Od niewoli sataniskiej.

Nam się nie dostało ścieszia
takowego,

Byśwa w nasej Pusey mieli
zrodzonego

Jezusa Chrystusa!
Choćby nasa dusza
Serdecnie go uccila!

Miałbyś i buracki, i kapustę, Panie!
Tłustą wieprzowinę zawse na
śniadanie,

Mlecko z jagielkami,
Chlebek z kartoflami,
Z miodem wódki flaseckę!

A na obiad byśwa skrzechów
naskworzyli

I kasy grycaney tłusto nakrosili.
Zając, kuropatwy,
Choć połów nietatwy,
Bylby, Panie, dla Ciebie!

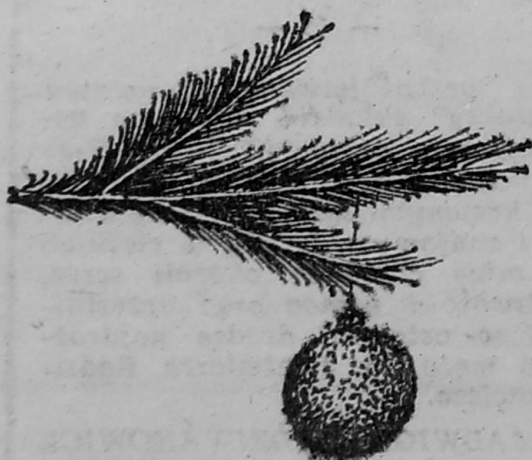
A w Betleem zydzi, śmierdzące
psiajuchy,
Tylko swym bachorom naposoli
brzuchy.

I chłodno, i głodno,
W nicem niedogodno
Trzymali cię, o Panie!

A ze się tak, Panie, podobało Tobie,
Iześ cierpiał biedę w maleńkiej
osobie —

Przyjmij serca chęć,
Miej Kurpiów w pamięci —
Tu na Pusey i w niebie!

„Gość Puszczalski” nr 14 z 1919 r.



Głoane święta

Proletariat łomżyński jeszcze nigdy nie miał takich świąt, jak w roku bieżącym. Pan Wojewoda zawiadomił, że państwo w tym roku żadnych doraźnych zasiłków nie udzieli, oprócz zapomóg, przypadających z Funduszu Bezrobocia, dla tych, którzy pracowali 20 tygodni. Kasa Miejska pusta, a więc Magistrat zdobył się zaledwie na rozdanie drobiny węgla, co jest kroplą w morzu panującej nędzy.

„Wspólna Praca” nr 13 z 1928 r.



Biednym na gwiazdkę

Z inicjatywy pana sędziego grodzkiego Zdzisława Wandla i przy czynnym udziale Związków Pracy Obywatelskiej Kobiet zawiązał się komitet pomocy biednym przy nadchodzących świątach Bożego Narodzenia. Zebrano produkty żywnościowe, ubranka dla dzieci i inne rzeczy w naturze — oraz około 150 zł w gotówce.

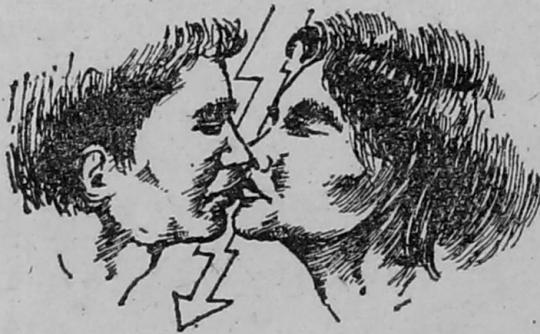
W dniu 20 grudnia ub.r. zaproszono najuboższych i w obecności burmistrza miasta Stawiski p. Szymona Grądzkiego rozdano ofiary zainteresowanym. W ten sposób obdzielono około 40 rodzin.

„Przegląd Łomżyński” nr 1 z 1934 r.

Zamach samobójczy w Wigilię

W środę 24 grudnia niejaka P. napila się jakiegoś roztworu — odwieziona natychmiast do szpitala żydowskiego została uratowaną. Przyczyna samobójstwa — zawód miłosny.

„Dziennik Białostocki” nr 217 z 1919 r.



Wesoły początek smutny koniec

W mieszkaniu Lemańskiego we wsi Piski odbywała się świąteczna zabawa przy „szumnym” tańcu. W czasie zabawy została ugodzona nożem Olszewska Sabina. Czyny tego dokonał mąż jej, Stanisław. Wojownicze małżeństwo przyjechało do Pisk z osady Śniadowo na święta do rodziców. Powodem zajścia była zazdrość, bowiem Olszewska zbyt czule „gruchała” z dawnym adoratorem, Z. Głazewskim.

„Przegląd Łomżyński” nr 2 z 1936 r.

Zabójstwo w Samborach

We wsi Sambory, gm. Bożejewo, przed domem, w którym odbywała się świąteczna zabawa taneczna, został zabity Jan Woliński. Jak dochodzenie policyjne ustaliło, został on uderzony kołkiem w głowę przez Józefa Kostorka, lat 21.

„Przegląd Łomżyński” nr 1 z 1933 r.

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych

Pan generał Młot Fijałkowski zamiast życzeń świątecznych i noworocznych wpłacił za naszym pośrednictwem 20 zł na budowę stadionu sportowego w Łomży.

P. dr. H. Wróblewski złożył za naszym pośrednictwem 15 zł na budowę pomnika ś.p. Leona Kaliwo-
dy.

„Przegląd Łomżyński” nr 52 z 1932 r.



Tragiczne pchnięcie nożem

W dniu 1 stycznia r.b. około godz. 21-ej w czasie bójki, wynikłej na zabawie tanecznej we wsi Dzierzbia, gminy Stawiski, między podпиты uczestnikami tejże zabawy został dwukrotnie uderzony nożem oraz ogólnie ciężko pobity Mioduszeński St., lat 20, mieszkaniec wsi Dzierzbia, którego dostarczono do szpitala św. Ducha w Łomży.

„Przegląd Łomżyński” nr 2 z 1935 r.

Nowy Rok pod złą gwiazdą

W swoim czasie niejaki Wincenty Szulc z naszego miasta ukarany został przez sąd za czynny opór policji podczas awantury na rok więzienia. Ponieważ wyrok uprawomocnił się — policja otrzymała polecenie odstawienia go do więzienia. Szulca aresztowano w noc sylwestrową.

„Dzień Dobry” nr 2 z 1935 r.



Migawki z dnia

Nowy Rok. Godzina 2-ga po południu, przed komisariatem P.P. na pl. Kościuszki zbiegowisko. Ciasny krąg ciekawych otacza sianie, na których leży człowiek, nie dający na pozór oznak życia. Słychać nerwowe pytania. Kto? Co? Gdzie? Jak? Otrul się za dziewczynę, odpowiada chłop, który go przywiózł dumny, że on tu udziela wyjaśnień.

„Wspólna Praca” nr 1 z 1929 r.



Łapanie męża

Już karnawał leci, leci... bawią się więc starzy, dzieci, choć w kieszeni pustka świeci!

Panna Lola, Panna Klara, choć jedna i druga stara, brzydką pieć się złapać stara (może znajdzie się ofiara!). Więc na bale, maskarady, wszędzie gdzie chłopców gromady, obie idą z sobą w biady. Są tam także Salcie, Rózie, co to karminują buzie, każda przystrojona ładnie, może komu w oko wpadnie.

„Przegląd Łomżyński” nr 2 z 1930 r.

Kronika sylwestrowa

Podczas libacji sylwestrowej w miejskiej restauracji Bronisława Kalinowska, służąca, skradła towarzysowi swemu, Stanisławowi Łęgowskiemu — 10 złotych gotówką.

W noc sylwestrową i 1 stycznia policja sporządziła 26 protokółów, w tem 13 za nie przestrzeganie godzin handlu. Dotyczy to głównie restauracji.

„Dzień Dobry” nr 3 z 1935 r.



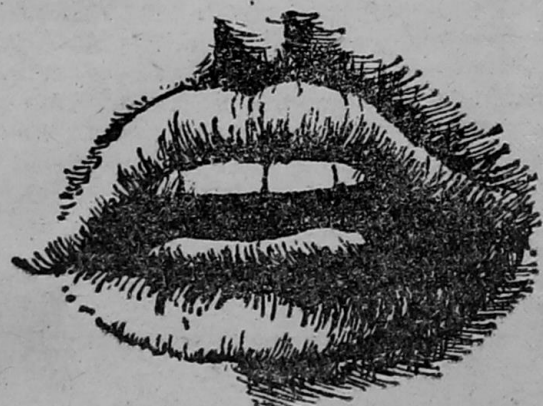
Woaowstręt

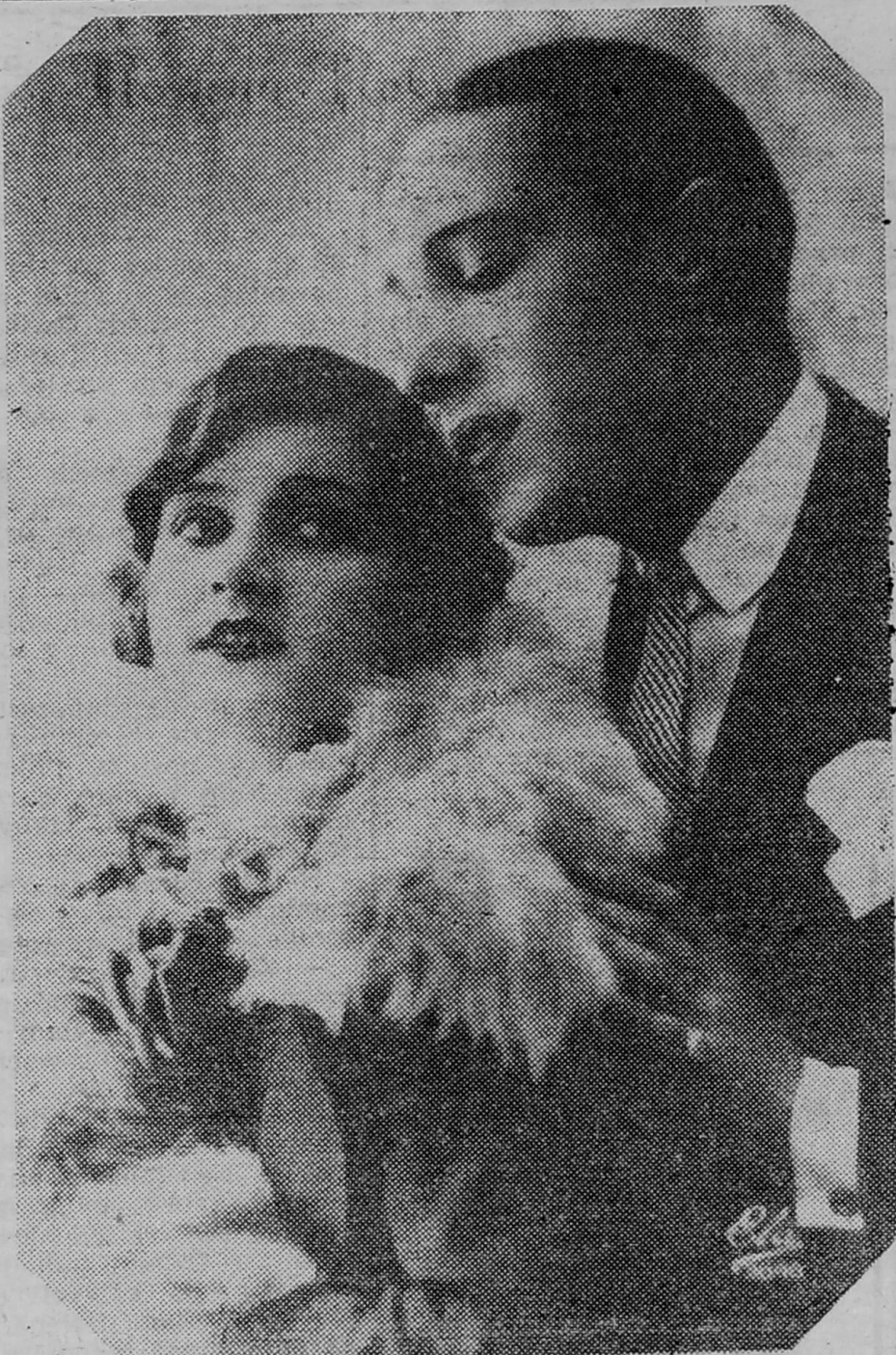
Co to może być takiego? — zapyta nietomzanin. To, że większość łomzan i łomżnianek nie lubi kąpiei. Opowiadał mi jeden z panów, stałych bywalców balowych, że na zabawie mamy wszystkich: i usteczka malowane, i ramiona obnażone, i spojrzenia powłóczyście, i... swoisty zapaszek, którego nawet zagraniczne perfumy zabić nie są w stanie. Upewniał, że na trzeźwo tańczyć nie podobna.

Gdy się idzie na bal, to się myśli o pięknej sukni, o jedwabnych pończoszках, o fryzurze, o paznokciach, ale o tym, żeby przyjąć kąpiel — ktoby tam myślał.

Na sali panuje nieprzyjemny zaduch, zaduch, który tępnie oddech. Rozbawiona publiczność tańczy. Co tam zdrowie — niech żyje karnawał.

„Wspólna Praca” nr 1 z 1929 r.





Choć może śmieszna, dziwna odmiennością stylu — dawne karty z życzeniami świątecznymi frapują swą różnorodnością, przekonują, iż warto poświęcić chwilę uwagi, by uniknąć schematu w wypełnianiu tego towarzyskiego obowiązku. Już ten niewielki wybór, jaki proponujemy, może wywoływać zadumę.

W przytoczeniach pozostawiliśmy pisownię oryginałów.



Panie Tadku!

Dziękuję za życzenia i nawzajem zasyłam serdeczne życzenia noworoczne. Od duszy szlę wszystkie dobro

Dziunia

1931 r.



Winszuję Ciebie Bronieczko Nowym Rokiem Wszczęściu i Zdrowiem DajBorze Zarok doczekała i ładnego menrza do stała.

Życzliwa pozostaje Kazieczka Dla ukochanej Bronieczki

1932 r.



Winszuję dniem Nowo Rocznym. Niech dla Pani Winszuję Niebo z gwiazdami. Winszują wszyscy Anieli w Niebie, winszuję i ja też Pani.

Życzę Szczęścia, Zdrowia, pomyślności — czego od Boga żądacie.

1920 r.



Wigilie w moim życiu były dostatnie i bardzo skromniutkie — mówi emeryt, Włodzimierz Kuciel. — 4 grudnia 1944 roku wstąpiłem do wojska. Moja rodzina była wówczas ewakuowana do Nagórka pod Zambrowem. Przez Łomżę przetoczył się front. Reszta ocalałych domów legła w gruzach. Ale ludzie wierzyli, że za tym ciężkim walcem historii zbliża się wolność. Z tą nadzieją jechałem do Białegostoku. Przydzielono mnie do 4 pułku zapasowego; 24 grudnia wyruszyliśmy pociągiem towarowym na front. Silny mróz trzymał od kilku dni, a my nie mieliśmy jakiegokolwiek piecyka. Kiedy tak dzwoniłem zębami, na stację wtoczył się pociąg wiozący żołnierzy radzieckich. Z każdego wagonu ulatywał dym przez specjalne kominiki. Użyliśmy wówczas istic Zagłobowskiego podstęp: kilku chłopców zagadywało wartowników, a inni od tyłu wynieśli jeden piecyk. Od maszynisty wzięliśmy węgiel i w wagonie zrobiło się całkiem przytulnie. Gdyby jeszcze było na czym

Leopold Długosielski ociera chusteczką zawilgocone oczy: — Niestety, nie będę mógł dużo o tamtych Wigiliach powiedzieć. W czasie Powstania Warszawskiego aresztowali mnie Niemcy wraz z tysiącami warszawiaków i zawieźli do obozu koncentracyjnego w Leitmeritz (dziś: Czeskie Litomierzyce). Pracowaliśmy w kamieniołomach. Przy takim nadludzkim wysiłku i bestialskim traktowaniu człowieka myśleliśmy tylko o przetrwaniu.

Wigilię 1944 r. przeleżałem w łóżku; złożył mnie tyfus. Po wyzwoleniu ważyłem 34 kilogramy. Moja matka przeżyła Ravensbrück, ojca i trzech braci zastrzelili Niemcy. Podczas każdej Wigilii wracam myślą do nich.

Tadeusz Klaus, żołnierz 1 Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki, najchętniej wspomina wojenne Wigilie: — Zima 1943 roku była bardzo mroźna. Znajdowałem się wówczas 200—300 kilometrów od frontu, w głębi Białorusi. Cała kompania zebrała się w dużej

wigilijne powroty

usiąść... Rada w radę: wzięliśmy z torów wolne podkłady i zrobiliśmy z nich ławki. Trzeba było tylko poczekać trochę, aby spłynął z belek lód.

Robiło się ciemno. W mrokach wieczoru czerwieniał się piecyk. Wyjąłem wówczas z portfela kawałek opłatka, który otrzymałem od żony przed wyjazdem do wojska, i złożyłem kolegom życzenia.

Nie pamiętam dokładnie mojej pierwszej wigilii w wyzwolonej Łomży. Siedzieliśmy przy karbidówkach i bardzo skromnie ubranej choince. Przez okna widać było wszędzie stopy gruzów. Cieszyliśmy się, że wreszcie jesteśmy razem.

Wszystkie następne były do siebie podobne, tylko z każdym rokiem coraz bardziej dostatnie. Najbardziej utrwaliła mi się w pamięci ta spędzona w Chittagongu w Bangladeszu. Było to w 1978 roku. Wyjechałem wówczas na budowę z grupą specjalistów. Bengalski kucharz przygotował nam różne gatunki ryb, natomiast polskie wigilijne potrawy sporządzaliśmy sami: uszka z barszczem, pierogi z kapustą i grzybami. Nasz kolega Rysio Hohub, inżynier elektryk, zaofiarował się dostarczyć choinkę. Byliśmy zdumieni: w klimacie tropikalnym świerki? A Rysio wyruszył i wędrował kilka godzin. Przyniósł... gałąz z tropikalnej sosny. Ustawiliśmy ją w dzbanie do noszenia wody, a Rysio przyozdobił urodzinowymi świeczkami. W odległości 8000 kilometrów od kraju zabrzamiało polskie „Bóg się rodzi”.

izbie. W kącie, przyozdobiona papierkowymi wycinankami, stała choinka. Opłatka chyba nie mieliśmy: każdemu przypadła porcja śledzi oraz 50 czy 100 gramów wódki. Zczyliśmy sobie przede wszystkim powroty do kraju, który ciągle był jeszcze daleko. Do dziesiątej cała izba rozbrzmiewała polskimi koledami.

Następna Wigilia (1944 roku) wypadła już na polskiej ziemi, w Rzeszowie. Ukończyłem wówczas szkołę oficerską w Riazaniu i byłem podporucznikiem. Jakież szczęście odczuwałem, gdy na ulicy słyszałem polską mowę. Życzyliśmy sobie jak najszybszego zakończenia wojny i odnalezienia się ze wszystkimi najbliższymi.

Prawdziwie powojenna polska wigilia, już w rodzinnym domu w Łomży, miała miejsce dopiero w roku 1947. Ojciec próbował skompletować rozkradzione meble. Zakupił gdzieś tapczan bez sprężyn i jakąś rozklekotaną szafę, której drzwi okrutnie skrzypiały. Jeden piec musiał wystarczyć na dwa pokoje, ale nikt z nas chłodu nie odczuwał, bo wreszcie byliśmy razem. Choć z zaopatrzeniem były kłopoty, matka na głowie stawiała, by na stole znalazło się 12 tradycyjnych potraw: trzy rodzaje owoców, kompoty, potrawy z makiem (obowiązkowo kutia i makaron) oraz śledzie.

Notował
STANISŁAW ZIELIŃSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY



spiećcia



Po latach kryzysu mieszkańcom Wysokiego Mazowieckiego wystarcza twarz pierwszego kolejkowicza i znajomość jego koneksji, by precyzyjnie rozpoznać, co „rzucili” do Domu Handlowego „Rywał”. Można rzec — o dobra walczymy z otwartą przyłbicą.

*

W barze „Popularnym” w Łomży klopsiki z ziemniakami, sałatką i kompotem kosztują sześćdziesiąt złotych, ale jeśli chce się je w ogóle zjeść, trzeba jeszcze wpłacić sześćdziesiąt złotych kaucji za widelce. W nagrodę za tę uciążliwość kierownictwo baru nie wywiesza zakazu strzelania do orkiestry.

*

Zostaliśmy zaalarmowani wieścią o nowej formie sprzedaży wiązanej, wymyślonej przez łomżyńskie „Społem”. Za jedne sześćset złotych wiska klientowi: butelkę szampna, szorstką ściereczkę, tzw. druciak do szorowania oraz pastę do zębów; wszystko pięknie zapakowane i przewiązane wstążeczką. Nie podzielimy oburzenia nabywców. Już Wistocka uczy: „Od łyczka — do staniczka”. Wprawdzie najlepsze witaminy mają polskie dziewczyny, ale i higienicznie — zdrowo!

*

By z Małego Płocka zobaczyć nieodległe (pięć kilometrów) Rogienice, wystarczy wejść na jakiejkolwiek wzniesienie. Gorzej, jeśli chce się pomówić. Jeszcze gorzej, gdy ma się ochotę zrobić to nowocześnie, czyli przez telefon. Trzeba wówczas wywołać Kolno (piętnaście kilometrów), poprosić o połączenie z Łomżą (trzydzieści kilometrów), która może dać nam kontakt z Rogienicami. Tele Kopa grzmotnąć se wody ognistej i dymy puszczać na styku: głos — w nos?

*

Wezwane do siedmiomiesięcznego dziecka z blisko czterdziestostopniową temperaturą pogotowie (pięć minut drogi) pojawiło się po trzech godzinach. Oczywiście: nawał zgłoszeń, przeciążenie, brak części... Ale również (w innym czasie): karetka LOA 925 E stoi pod sklepem spożywczym, gdyż załoga musi zaoptować się w piwo; LOA 865 E — pod pawilonem ZURT-u, bo kolejka wskazuje, że może być coś atrakcyjnego. Słów szkoda, nie tylko... Panie, bądź miłośniczką nam, grzesznym.

*

Wieża Stucz czuje się pokrzywdzona i jako dowód pokazuje jedną maleńką półkę w swym sklepie zapelnioną towarami oraz zapadnięte brzuchy z powodu wielodniowych braków chleba. Ponadto była oświetlona dniem przy konsekwentnych ciemnościach nocą. Wsią Stucz rządzą przybysze z gwiazdzbioru Radziłów. Wieś twierdzi, że zieloni. I nie u f o.

*

Podczas zjazdu PKPS w Łomży przewodnicząca komisji rewizyjnej wyjaśniła, iż komisja nie kontrolowała działalności zarządu, gdyż ten nigdy nie poprosił nikogo z komisji na swe posiedzenia. W związku z licznymi wątpliwościami dementujemy, jakoby najważniejszą częścią rewizorów była „siadłka”. Choćby miała mylący wygląd.

Dlaczego nie chciała pani podjąć pracy w tkalni w ciągu trzech miesięcy letnich? — pytam Danutę Gosk, obecnie urzędniczkę działu zbytu, która niegdyś, przez siedem lat, była tkaczką w Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej.

— To nie tak — mówi z wyrzutem pan Sciana, kierownik działu kadr. — Dlaczego pani nie mogła, panie redaktorze, dlaczego nie mogła?

Danuta Gosk, której nagle łyzy się zakreśliły pod powiekami, podejrzewa mnie, że chcę wyrzucić na nią presję. A przecież tyle razy już mówiła, wyjaśniała, że choruje, mimo młodego wieku ma żylaki na nogach, poza tym jest matką dwojga małych dzieci.

Przedtem miałam identyczną rozmowę z Leokadią Gronostajską, która 17 lat przepracowała na krosnach, a od 1980 r., po skończeniu zakładowego technikum, przeszła do pracy w księgowości. Jest matką pięciorga dzieci w wieku od 7 do 17 lat. I z pewnym zażenowaniem mówi o pogarszającym się wzroku. Tak już sobie zaplanowała, że jak tylko skończy szkołę średnią zmieni zawód. Jak mogła zajmować się dziećmi, kiedy raz pracowała na nocnej, innym razem na popołudniowej zmianie, a jeszcze innym razem normalnie, do południa? Pewnie, przydałoby się więcej grosza. Razem z mężem, łącznie z zasiłkami na dzieci (1470 złotych na piątkę), rekompensatami (5800 złotych) mają miesięcznie niespełna 30 tysięcy złotych. Tak więc na głowę wychodzi niecałe 4500. A tu najstarsza, 17-letnia córka chodzi do liceum ekonomicznego i, jak to dziewczyna, ma już swoje dziewczęce potrzeby.

PODGLĄDANIE ZAMBROWSKIEJ „BAWEŁNY” (3)

Przez szum maszyn próbuję zamienić parę słów z Danutą Rytwiańską, pracownicą z 28-letnim stażem, która obsługuje obecnie 11 zgrzeblarek. Pani Danuta ma 52 lata, ale widać, że praca w tym zakładzie zrobiła swoje.

— Powiedziałabym, że lubię swoją pracę, jak mnie wtręba nie dolega — próbuje się uśmiechnąć. — Czy odczuwam reformę w zakładzie? Chyba tak, trudno tak od razu dokładnie powiedzieć, ale przydałoby się jeszcze więcej grosza. Chciał nie narzekać, za ocean się nie wybieram, w ciąży też już nie będę...

To aluzja do poprzedniej uwagi, jak wielką cenę ze swego zdrowia może człowiek zapłacić, aby więcej

MARIAN WIŚNIEWSKI

kiedyś nic
tylko
śpiewałam



Mąż nastawiać („Poznaliśmy się w zakładzie” — mówi pani Leokadia) asekuruje się:

— Zrobisz, jak zechcesz. — Nie mówi „tak”, ani nie mówi „nie”.

— Ale co, pójdę, narobię błędów i tylko skompromituje się w oczach swoich dawnych koleżanek — zwierza się ze swoich obaw Gronostajska.

To pytanie: dlaczego nie skorzystała z kuszącej finansowo oferty? — dręczy dalej. W końcu zarobek o parę tysięcy złotych miesięcznie więcej to rzecz nie do pogardzenia w dzisiejszej sytuacji. Czy zdecydowała wyłącznie obawą przed utratą prestiżu i statusu urzędnika? Odpowiedzi szukam w części produkcyjnej zakładu.

W przedziałni nawet nie ogłaszający hałas mnie zaskoczył, ale przede wszystkim nagły półmrok. Agresywny kurz obsiada nozdrza, uszy.

zrobić. Pani Rytwiańska daje do zrozumienia, że jej potrzeby materialne są umiarkowane. Mąż jest na rencie (też pracował w „Bawełnie”), czwórka dzieci (jeden syn również tu pracuje) także zarabia na swoje utrzymanie.

— Czy będzie lepiej? Musi być, jeśli mnie, to moim dzieciom — i już pędzi do swoich zgrzeblarek ledwie widocznych w gęstym, wilgotnym półmroku.

Teresa Cieślak, jak większość z młodszej części załogi, jest absolwentką zakładowej szkoły zasadniczej. Od siedmiu lat pracuje na wyciągarkach. Przyznaje, że od czerwca — to skutek nowego systemu płac — jej zarobki wzrosły przeciętnie o 3-4 tysiące złotych miesięcznie. — Więcej się robi, to i więcej zarabia — odpowiada z rezerwą, trochę nieufnie. Zapewne jest nieco zaskoczona tą niespodziewaną wizytą, którą odbywam w towarzy-

stwie, na moje — zresztą — zaproszenie, przewodniczącej Zarządu Zakładowego Związku Zawodowego, Wandy Marcinkowskiej i przewodniczącego Samorządu Pracowniczego, Stanisława Baranowskiego.

— A mąż — pytam — gdzie pracuje? — będąc zresztą pewnym odpowiedzi, że również w fabryce.

— Na gospodarstwie — słyszę tymczasem. Pani Teresa pochodzi ze wsi, niebawem zamierza opuścić zakład i pracować razem z mężem na gospodarstwie.

Na przedzarkach obrączkowych kurzu jest dużo mniej. Po prostu bawełna została już prawie dokładnie oczyszczona. Huk maszyn jest nadal przytłaczający.

Barbara Florczyk pracuje dopiero od trzech lat, mimo to w ostatnim miesiącu zarobiła 16 tysięcy złotych. Gdy gratuluje jej zarobku, śmieje się po dziewczęcemu, zadowolona, ale naraz pochmurnieje: — Skończy technikum i zmienię pracę. Jest ciężko — mówi jakby czymś zawstydzona.

Helena Brzezińska związała się z zambrowską „Bawełną” niemal od samego początku istnienia fabryki.

— Kiedyś, proszę pana, to ja nie, tylko przez osiem godzin śpiewałam; śpiewałam, bo byłam zadowolona, a dziś cała w nerwach chodzę — rzuca na powitanie.

Na twarzach Wandy Marcinkowskiej i Stanisława Baranowskiego maluje się konsternacja. Rzecz się jednak szybko wyjaśnia, w sposób nie pozbawiony jednak zaskakującej pointy. Cztery lata temu dawne maszyny, na których od początku pracowała pani Helena, zostały zastąpione przez automaty. Zdawałoby się: tylko się cieszyć. Tymczasem właśnie one doprowadzają ją do szewskiej pasji. Stale się psują, zaś części brak a to oznacza przestój i mniejsze zarobki. Stąd nerwy.

Pani Helena z „nadróbkami” („nadróbkami” to praca w wolne soboty) zarabia 17 000 złotych miesięcznie, lecz dobrze wie, że gdyby nie kłopoty z częściami, mogłaby jeszcze ten tysiąc-dwa wyciągnąć, więcej. Podobnie jak jej córka, która również pracuje na obciążarkach.

— Mówię do maistra — opowiada pani Helena — części nie ma. A on na to: „A skąd ja je wezmę?” Potem wciągała w nocy te stare, zniszczone i według wzoru klepia nowe. Ale to już nie to samo.

W minorowych nastrojach wracam do biurowca. Gospodarze uśmiechają się trochę ironicznie. Jeszcze jeden taki się znalazł, który dostrzegł na hali kurz. Przecież ten kurz procentuje obniżką kosztów produkcji, są wentylatory, filtry, ale choćby najdoskonalsze, wszystkiego nie wchłoną. A maszyn całkowicie hemetycznych jeszcze nie wynaleziono, a nawet, załóżmy, jeśli je gdzieś produkują, skąd wziąć dziś środki na ich zakup?

Niemniej kwestia: skąd wziąć ludzi do pracy w tych warunkach? — pozostaje. W jaki sposób uruchomić np. nieczynne krosna? Co uczynić, aby fabryka pracowała na dwie pełne zmiany?

Dyrektor Czesław Zagdański, jak przystało na szefa, przyjął ciężar obrony na siebie:

— To nie lata pięćdziesiąte, dziś ludzie chcą dobrze zarabiać, ale przede wszystkim pracować w ludzkich warunkach. Czy u nas jest tak źle? — zawiesił na chwilę głos. — Przecież z każdym rokiem poprawiamy warunki, instalujemy sprawniejsze filtry i urządzenia wentylacyjne.

Kwestia maszyn. Łatwo powiedzieć: jedna przedzarka bezwzględnie kosztuje 6 milionów. Dziś, a jutro? A nam potrzeba ich kilkadziesiąt. Skąd zatem wziąć środki? Musimy je po prostu wyprącować. Taki jest sens reformy gospodarczej. Od przyszłego roku zmienia się zasady opodatkowania, będą korzystniejsze dla zakładu, podobnie jak odpisy z amortyzacji.

Wspólnie z samorządem, związkami zawodowymi, organizacją partyjną będziemy się zastanawiać, od czego zacząć. Jesteśmy świadomi trudnych wyborów. W jakiej kolejności rozpocząć dalszą modernizację zakładu: od przedziałni czy od tkalni, od tej czy innej części tych wydziałów? Ale nie miejmy złudzeń, nie przeprowadzimy tej operacji w ciągu roku czy nawet dwóch. Nikt nam nie pomoże, musimy liczyć przede wszystkim na siebie.

Wypowiadał się głównie w czterech dziedzinach: w rysunku (nigdy nie wypuszczał w ręk szkiełkowatą. Nawet podczas naszych spotkań towarzyskich nie omijał okazji, aby udokumentować w ołówku czy piórkiem i tuszem bardziej interesujące indywidualności), grafice (prasa podkreślała zwłaszcza — „najlepszą grafikę miesiąca”, luty 1962, tzw. „Pucherki”), polichromii (dwie z nich zasługują na szczególną uwagę. W Kielcach zachwylił doborę tematyki i świeżością ubarwienia ścian całego wnętrza kieleckiej Filharmonii. Szczególną jednak troską otoczył malowidła ściennie dla świetlicy środowiskowej w rodzinnym Kurdwanowie, co podkreśliła niegdyś z uznaniem „Gazeta Krakowska”), w malarstwie sztalugowym (w które wkładał najwięcej wysiłku i pracy artystycznej).

Syn proletariatu podkrakowskiego od wczesnej młodości lubił waleśać się po przedmieściach swojego miasta, podpatrywać okoliczne wioski. Szukał tam najistotniejszych wartości.

Częstymi tematami jego olejów były wiejskie „świętka ukryte w przydrożnych kapliczkach, „Nepomuceny”, malowidła wykonane na drewnie, chłopskie „Madonny” i „Archanioły” posfruwane zza chmur na tę biedną ziemię”.

W okresie socrealizmu wybijał się na dostrzeżenie zmartwień i trosk, zrozumienie doli podkrakowskiego chłopca. W przytoczonym rysunku widzimy siedzącego na ledwo heblowanym zydli, w barankowej czapce i w juchtowych buciorach; oparł się łokciami o kolana i — trzymając w ręku gazetę — z rezygnacją duma nad powojenną dolą. Ledwo „opatulona” Xenia także siedzi na drewnianym „krzyżaku” i skulona zamartwia się, czym opali w przenośnym piecyku swoją starą chałupkę. Nawet dyrygent przysiadł na stołku i próbuje wykreśać choćby promyczek pożądanego animuszu.



Owszem, próbował nawet jakichś „rozłazów” — w typie biomorficznej wisceracji Jeana Arpa i Alberta Vianiego, bo i taka moda (!) gruchnęła poza kulisami obowiązującego kiedyś „socu”. Jest tu coś z poszukiwań Moore’a, bo swoje dwie „zewnętrno-wewnętrzne” kreatury poprzębiał jego „dziurami”. W ten sposób Wałach włączył się w modną pseudoabstrakcyjność migawkowego dada i wszechwładnego surrealizmu.

W gruncie rzeczy zostaje „niby-soba” i stylizuje wykubizowane gęby wcale pokusliwych dziewczątek. Cechuje go twardość linii i rozstrzelonych plam; przypomina to trochę „nudy” Bernarda Buffeta, który zapełnił aż kilka sal Muzeum Watykańskiego ponurymi „szaro-czarnociami”. Ale ten schematyzm figuralny, jakkolwiek opiera się na formach geometrycznych, „rozstrzelili” Wałach ostrym zestawem intensywnych plam kolorystycznych. Plamy te, prawie zawsze, obwodzi mocno zaakcentowanym konturem. Paletę zaś skoncentrował na zdecydowanej dominancie błękitu i zieleni, bieli i czerni, oranżu i czerwieni. Z zasady lubuje się w doborze skalonych i wydłużonych kształtów: będzie to nieraz trójkąt, czasem ełipsa, najczęściej rozciągnięty prostokąt.

Dla urozmaicenia i „rozbicia” tych uproszczonych form, wprowadza do



Stacho Wałach

malarstwa całą różnorodność pozamalarskich materiałów z podmiejskich śmietników, jak prawdziwe kości, kawałek klocka czy czaszkę skorodowane żelazo a nawet rozbiłki kolorowych szkielek. Nie brak mu bowiem pomysłowości. Naiwność i nieoczekiwane rekompensuje indywidualnością pomysłów coraz dziwniejszych, nawet denerwujących. Mimo to zaskakuje ona widza szczerością wypowiedzi i świeżością podpatrzonych lub przeżytych fenomenów parapsychologicznych. I właśnie to „podglądanie” sfer metapsychicznych „zanurza” go w wizje surrealistyczne.

Zresztą sam najwyraźniej przyznał się do tego: „Moje marzenie: to móc wydać swoje sny — a mówię je stale, i to bardzo ciekawe i fantastyczne — z własnymi ilustracjami”. Dyrektor krakowskiego Pałacu Sztuki, Ignacy Trybowski powiadomił mnie miesiąc temu o „zrealizowaniu” około trzech tysięcy takich snów.

Biorąc pod uwagę wszystkie powyższe przejawy i źródła jego twórczości dochodzimy do istotnego zrozumienia jej fantastyczności i „dziwotwórczych” pomysłów.

Często i chętnie wystawiano jego prace nie tylko w Krakowie, bo- wiem także w Warszawie, Kielcach, Sopocie, Łodzi itd. Dużo z nich zakupiły polskie muzea oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Za granicą pokazywano jego dzieła w Austrii, na Węgrzech, w Czechosłowacji, Norwegii, Bulgarii, w USA. Wystawom towarzyszyły zakupy.

Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych (bywał także we Francji, Egipcie i Anglii) w latach siedem-



dziesiątych wslawił się szczególnie portretem prezydenta Jimmie Cartera; wykonał go w przedziwny sposób ze zwyczajnej słomy. Swoją atrakcyjnością upiększa dotąd ściany Białego Domu w Waszyngtonie.

A zatem — pomimo nieco może „plakatowego uproszczenia, przy zachowaniu dużej gęstości malarzkiej materii” (Piotr Skrzyński, „Echo Krakowa”), malarstwo Wałacha zdobyło uznanie i w kraju, i za granicą. Wypracował bowiem swój osobisty styl — dzięki walorom warsztatu artystycznego i wizji malarzkiej, wybiegającej nieraz poza świat fenomenów, w przestworza głębin transcendentalizmu.

JOZEF NARWIANSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY



PS. 8 listopada br. otrzymałem dotkliwie zaskakującą wiadomość: 23 września — nagle i całkowicie niespodziewanie — zmarł w rodzinnym Kurdwanowie, gdzie pojechał do matki, Staszek Wałach; nastąpiło to od razu i definitywnie.



wizerunki



Dotychczas sądziłem, że wysoce krzywdzące jest przypisywanie wszelkich ludzkich przywar i sprawek świniom. Dopiero świnowatość świni numer tatuażu 617, która nawykła, na dął wykręca i jeszcze nie raz wykręci porządnym ludziom świńskie numery, radykalnie zmieniła moją opinię o tym wszystkożernym ryju.

Rozdział I, z którego dowiadujemy się, jak świnia podkładała się różnym osobom i co z tego wynikło.

Był maj 1983 roku. Polskę ogarnęły paralizujące upały. „W miastach miliony spragnionych bezskutecznie polują na jakikolwiek napój chłodzący” — donosiła prasa. Ta drobna dolegliwość nie mogła przesłonić optymistycznej wymowy kolejnego komunikatu GUS-u. Normalizacja życia w kraju postępowała naprzód. Pomyślnie rozwijał się dialog ze społeczeństwem. Wówczas to, 26 maja (czwartek), w mieście Grajewie, około godziny 8.00 rano, do punktu skupu GS „Samopomoc Chłopska” przyjechał młody Rolnik z pobliskiej wsi z dorodnym tucznikiem (nr kontraktacji: 69/VII/83). Jego właścicielką była 60-letnia, samodzielnie gospodarząca Rolniczka.

ROLNIK: — Byłem sam na spędzie. Lekarz obejrzał przelotnie tucznika. Nie zgłosił uwag. Wpędziłem sztukę na wagę: 209 kilogramów. Klasyfikator jeszcze na wadze wybił na uszach numer 617. Wypisał kwit i z wagowym pogoniłm świnie do kojca.

czyna sinieć. Dla dostawcy oświadczyłem, żeby jak najprędzej ją dostarczył do miejscowej masarni, gdyż są to ostatnie znaki jej życia.

ROLNIK: — Świnie pogoniłm na przyczepkę. Nie mogła od połowy drogi iść. Dociągnęliśmy. Klasyfikator wziął nóż i dorznął. Kierownik rzeźni oświadczył mi: „Nie przyjmę!” Posłałem po właścicielkę. Masarnia to podłużny barak, oddalony o 100 metrów od punktu skupu. Przed furtką napis „Pracę przewyższamy trud”. Pokój biurowy o surowym wnętrzu, bez przesadnej czystości.

KIEROWNIK: — Mężczyzna nie okazał mi ani specyfikacji, ani skierowania od lekarza weterynarii, świnia więc była własnością prywatną. Zrobiłem, co w mojej mocy: zagrzałem wodę, rozprawiłem i oskórowałem. Lekarz — stwierdził, że mięso jest mniej wartościowe i dał skierowanie do WSS-u w Grajewie.

LEKARZ WET.: — Nie przystąpiło zaraz po zarżnięciu do rozbiórki. Mięso się zaparzyło i straciło na wartości. Świnia była zdrowa, lecz upał, nadmierne skarmienie i ciężka jazda zrobiły swoje.

ROLNICZKA: — Przyjeżdżam, proszę kierownika o zagospodarowanie, inaczej mięso się zmarnuje. Kazał się wynosić. Posłałem interweniować do prezesa GS-u.

Biurowiec GS-u to piętrowy budynek naprzeciw masarni. Tablica: „Obrona socjalizmu to obrona Polski”. Gablota: „Dnia 5183 został zarejestrowany NSZZ pracowników GS „Sch.”

PREZES: — Około godziny 12.00 przyszła do mnie Rolniczka. Kierownik masarni odmówił przyjęcia półtusz tucznika — dyktuje jak wyuczoną lekcję. — Zrobiłem rozżalenie. Klasyfikator, pracownik Zakładów Mięsnych w Elku, nie przyjął a więc świnia stanowiła własność prywatną producenta. Na-

sama i tego mięsa nie zdołałem spożyć.

PREZES: — Załoga mogłaby się pomylić i wziąć to mięso do produkcji, co generalnie zepsułoby jakość naszych wyrobów, z czym przecież walczymy.

ROLNICZKA: — Udałam się do Komitetu. Sekretarz interweniował, dzwonił.

Niepozorna kamienica w rynku; typowy gabinet z palmą i portretem Lenina.

SEKRETARZ: — Prezes zdjął z siebie odpowiedzialność. Została kobieta i świnia. Odesłałem ją do zastępcy naczelnika. Obiecał, że sprawę rozstrzygnie do końca.

Okazały gmach Urzędu. Liczne korytarze. Amfłada pokoi. Filizyjne wizytówki w lustrzanym obramowaniu.

ZASTĘPCA NACZELNIKA: — Prezes powiedział: nie ma sprawy, niech przyjeżdża. W tym dniu, o godzinie 13.00, miałem zebranie we wsi Cyprki w sprawie konsultacji z rolnikami zasad podatku gruntowego i nie mogłem śledzić, jak problem został załatwiony.

ROLNICZKA: — W bramie rzeźni czekał wprost wściekły Prezes. „Ty babo od świń” — krzyknął. Pracownicy rzeźni załadowali mięso na mój zabłocony wóz, na to jelita, skórę i inne odpady. Kazał szybko jechać bo „taniej jatce” już czeka sprzedawca.

Centralny plac miasta. W rogu, przy „taniej jatce” wóz z rozbebeszoną świnia nr 617. Mijają dwie godziny największej duchoty. „Tania jatka” na głuchą zamknięta. Wokół wozu gromadzą się przechodnie. Podnoszą się prowokacyjne głosy oburzenia na marnotrawstwo mięsa w dobie jego ostrego niedoboru. Przed handlem z wozu, czego domagają się natargowicze ludzie, przestrzega urzędowe wyglądający mężczyzna. Kieruje Rolniczkę do obywatelki Wiceprezes WSS-u, której podlega „tania jatka”.

masarni. Odmówił. Prezes GS-u kategorycznie odmówił. Nasz sklep był zamknięty od 1 maja i wszyscy zainteresowani dobrze o tym wiedzieli.

Świnia nr 617

PREZES GS-u: — Jak Prezes WSS-u nie miał pracownika, mógł sam nałożyć fartuch i sprzedawać.

ROLNICZKA (świnia nr 617 nadal zażywa kąpieli słonecznej): — Znów posłałem do Sekretarza. Staraj się pomóc. Tracił cenny czas na rozmowy telefoniczne z różnymi osobami od mięsa. Każda odpowiadała: „Nie moja sprawa”. Wobec powszechnego „weta” wróciłam około godziny 17.00 do domu.

SEKRETARZ: — Gdybym sądził, że Naczelnik niczego nie załatwi, wówczas wymusiłbym definitywne rozwiązanie problemu. Niestety, dopiero nazajutrz dowiedziałem się, że sprawy nie rozstrzygnięto.

Rozdział II, w którym straszny upiór świni nr 617

NACZELNIK: — Upiór wstał z trumny. To dawna sprawa — mówi wręczając dokumentację. — Wie pan: „niezależne, samorządne”, resztę można sobie dośpiewać. Gdyby Prezes podlegał Naczelnikowi, toby tu przede mną tańczył.

„Protokół ze spotkania z przedstawicielami jednostek handlowych w dniu 27 maja 1983 r. w Urzędzie Miasta i Gminy. Obecni (10 osób) naczelnicy, prezesi, kierownicy oraz Rolnik. Spotkanie zorganizowano celem rozwiązania problemu, jaki zaistniał w dniu 26 maja br. w punkcie skupu GS „Sch”. (Następują wyjaśnienia stron). Ustalenie: WSS w dniu dzisiejszym odwiezie mięso do masarni w Jedwabnem. GS najpóźniej do dnia 1 IV br. uruchomi sklep z mięsem mniej wartościowym.”

WICEPREZES WSS-u: — Samochód został wysłany natychmiast. W sumie byliśmy trzy razy. W domu zastaliśmy tylko ciężko chorego męża Rolniczki. Sąsiedzi oświadczyli, że mięso nie nadaje się do konsumpcji z powodu zarobaczenia.

ROLNICZKA: — Rano udałam się do Grajewa, aby sprzedać choć skórę. Punkt skupu zamknięty. Jadę więc do Elku. Mięso zadołowałam dopiero w poniedziałek. Może przyjadą z „Bacutilu”? — myślałam.

Pismo do Gminnej Spółdzielni w Grajewie: „Waga świni nr 617: 209 kg razy 128 złotych/kg plus świadczenie dodatkowe w wysokości 3250 zł, razem 30 002 złote”.

— Prezes odrzucił moje roszczenia.

PREZES GS-u: — Formalnie sztuka nie została przyjęta przez klasyfikatora, gdyż nie odpowiadała warunkom skupu.

Pismo Rolniczki do KC PZPR: „Biorąc pod uwagę wysiłek Państwa w walce z kryzysem oraz uchwałę Partii o przyspieszeniu wyjścia z kryzysu gospodarczego, o przywrócenie zaufania do członków Partii, poddaję do przeanalizowania postawę Prezesa GS, członka Partii [...]. Pracowałam przez cały rok, aby uchronić tak dużą sztukę i mój wysiłek poszedł na marne”.

SEKRETARZ: — Ta sprawa niepotrzebnie wyszła na zewnątrz.



Zarządzenie nr 73 ministra Przemysłu Spożywczego i Skupu z dn. 10 XII 1973 r. § 12 pkt 2: „GS nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne przypadki uszkodzenia lub padnięcia zwierzęcia, do momentu zejścia z wagi”.

KLASYFIKATOR bydląt: — Sztuka na wadze dyszała. Po pewnym czasie zauważyłem, że słabnie i za-

sza masarnia też nie mogła przyjąć, gdyż nie przerabia mięsa mniej wartościowego. Może być zarzut, że sztuka czekała na wypatroszenie. Nie mieliśmy zagrzaanej wody. Rozpalenie kotła pochłania dwie tony węgla. Wodę grzejemy w dniu planowanego uboju.

ROLNICZKA: — Poprosiłam o przechowanie w chłodni. Jestem

„Notatka służbowa z kwietnia 1983 r. Ustalono, że GS takie mięso (mniej wartościowe) dostarcza do WSS, a WSS sprzedaje.”

WICEPREZES WSS-u: — Gdzieś koło 14.00 przyszła do mnie zdenerwowana starsza kobieta. Byłam zdumiona: posiadała kwit kontraktacyjny, więc mięso należało do GS-u. Zadzwoniłam do kierownika



WZDY Powinni byli zapłacić kobiecie, wręczyć kwiaty, przeprosić.

Pismo w sprawie świni nr 617 wraca drogą urzędową do KW PZPR w Łomży. Z KW PZPR trafia

Zakładów Mięsnych w Elku. Wobec powyższego rozpoznanie sprawy odroczone.

Czwarta rozprawa: 30.11.br. Przysłuchano kolejnych świadków. Przypadkowo obecny rolnik (inna gmina) oświadczył Wysokiemu Sądowi, że prezes GS-u podobnie potraktował jego świnię. Wniosek: dopozwanie WSS-u w Grajewie. Rozprawę odroczone.

ADWOKAT: — Chcą wykazać przy pomocy świadków, że w zasadzie nie nastąpiło dostarczenie zwierzęcia.

Rozdział IV: reporter na tropach świni nr 617

Kończył się listopad 1983 roku. Wyjątkowo wczesna zima tradycyjnie zaskoczyła służbę drogową. Lecz kilka nie uprzątniętych w porę zasp nie mogło przekreślić dotychczasowych dokonań antykryzysowych. Wówczas w Grajewie pojawił się reporter z ambitnym zamiarem wytropienia i napiętnowania świni nr 617.

— Chrum, chrum — usłyszał w okolicy GS-u, więc zdecydowanie zapukał do gabinetu Prezesa. Ten siedział zamyślony.

PREZES GS-u: — W swojej 31-letniej pracy, w większości w radach narodowych, nie miałem takiej sprawy. Moje akta są czyste. Jestem członkiem partii od 1958 r. Byłem ławnikiem w sądzie do 1975 r.

„Dyplom (tow. Prezes Zarząd Miejsko Gminny LSMP w Grajewie)

wie (serdecznie gratulujemy Wam wyboru w plebiscycie na Najlepszego Mistrza Nauczyciela i Wychowawcę Młodzieży). To wysokie wyróżnienie jest pięknym świadectwem Waszego zaangażowania w procesie socjalistycznego wychowania młodzieży (Prezydium Zarządu Miejsko Gminnego LSMP w Grajewie) 31.05.1979 r.”

Pismo przewodniczącego ZG LSMP: „Znany jest Wasz godny naśladowania życiorys. Dzisiejsze pokolenie młodzieży znajduje w nim inspirację do walki i pracy [...]”

PREZES GS-u: — W konkursie „Ład—Porządek” zajęliśmy I miejsce na szczeblu wojewódzkim. W moim pojęciu incydent ze świnią jest śmieszny. Wiem, że prasa ma obowiązek obiektywnie informować. Proszę zobaczyć: pismo z WSS-u o tym, że „tania jatka” jest nieczynna, przyszło dopiero 30 maja. Datę wyjścia, 23 maja, prawdopodobnie WSS sfabrykował.

Chrum, chrum.

PREZES GS-u: — Skierowanie sztułi do rzeźni też zostało przez lekarza weterynarii sfabrykowane.

KIEROWNIK LECZNICY ZWIERZĄT: — Prezes teraz wszystkich wokół oskarża. Skierowanie na ubój wystawił technik pełniący w tym dniu dozór weterynaryjny w punkcie skupu. Zresztą — wertuje gruby skoroszyt dokumentów — zarządzenie nr 13 mówi: „skierowanie organu weterynarii jest nie wymagane”.

Chrum, chrum.

SEKRETARZ: — Winę moralną ponosi Prezes GS-u. Mam żal do

Zastępcy Naczelnika. Ta sprawa niepotrzebnie się ciągnie. Mamy starą, doświadczoną kadrę kierowniczą, jeszcze powiatową. Do niej należy również Prezes, przez wiele lat członek egzekutywy Komitetu; obecnie członek Komisji Kontroli Partijnej. GS ma dobre wyniki w realizacji zadań, aktywnie działają organizacje społeczno-polityczne. „Człowieku, towarzyszu drogi, prezesie, potrzebne wam to było?” — pytałem go. „Niepotrzebne”.

Chrum, chrum.

ZASTĘPCA NACZELNIKA: — Mówiąc szczerze, wypadek ten nie przynosi nam chwały.

ROLNICZKA: — Odwiedził mnie przedstawiciel Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partijnej. Zarzucił mi sprzedanie mięsa świni prywatnie. Pokazałam cuchnący dowód, który przechowuję w beczce. Przedstawiciel zawiadomił mnie, że partia trzyma rękę na pulsie. Prezesa nie można pochopnie skrzywdzić, dlatego ocenił go po wyroku sądowym.

Chrum, chrum.

Rozdział V: widmo świni nr 617 krąży nadal

Świnią nr 617 nie złożyła proni. Czeką na dogodny moment, by w jakimś cichym, stępczym mieście ponownie dać się zaprowadzić na spód. Dlatego apelujemy do osób mających bezpośredni do czynienia z trzodą chlewną o wzmożenie czujności. Przypominamy znak szczególny świni: wytatuowany na uszach numer 617.

do Wicewojewody. Od Wicewojewody — do Wydziału Rolnictwa. Na miejsce jedzie specjalna komisja.

ROLNICZKA: — Przyjechały trzy panie. Mówią, że oddelegowane z Urzędu. Dwie były szczególnie aktywne. „Niech pani przekaże w depozyt wszelkie dokumenty.” Na szczęście nie dałam. Okazało się, że obie są pracownikami GS-u w Grajewie.

AKTYWNA PANI: — Wysłał nas Wiceprezes GS-u w celu wskazania drogi urzędniczej. Żadnych rozmów na temat świni nie prowadziliśmy.

Pismo Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa UW w Łomży do Rolniczek, z sierpnia 1983 r.: [...] sztuka trzody chlewnej była chora [...] dobita przez dostawcę [...] w tym wypadku winę za nieudzielenie pomocy w zagospodarowaniu mięsa mniej wartościowego ponosi kierownik masarni GS «SCH» w Grajewie”.

KIEROWNIK MASARNI: — Nie czuję się winny.

PREZES GS-u: — Urząd Wojewódzki nie może ingerować. Jesteśmy jednostką samorządną. Kierownika nie ukarałem. Postąpił prawidłowo.

Pismo Rolniczek do UW w Łomży: „Ob. Prezes w myśl Waszego pisma ma wyciągnąć wnioski służbowe w stosunku do winnych (tzn. sam do siebie!)”.

Rozdział III, z którego wynika problematyczność istnienia świni nr 617, tu i teraz oraz w ogóle

Pierwsza rozprawa o odszkodowanie odbyła się w dniu 17 sierpnia 1983 roku. Przysłuchano: Rolniczkę, Rolnika, Lekarza Weterynarii. Sąd odroczył rozpoznanie sprawy.

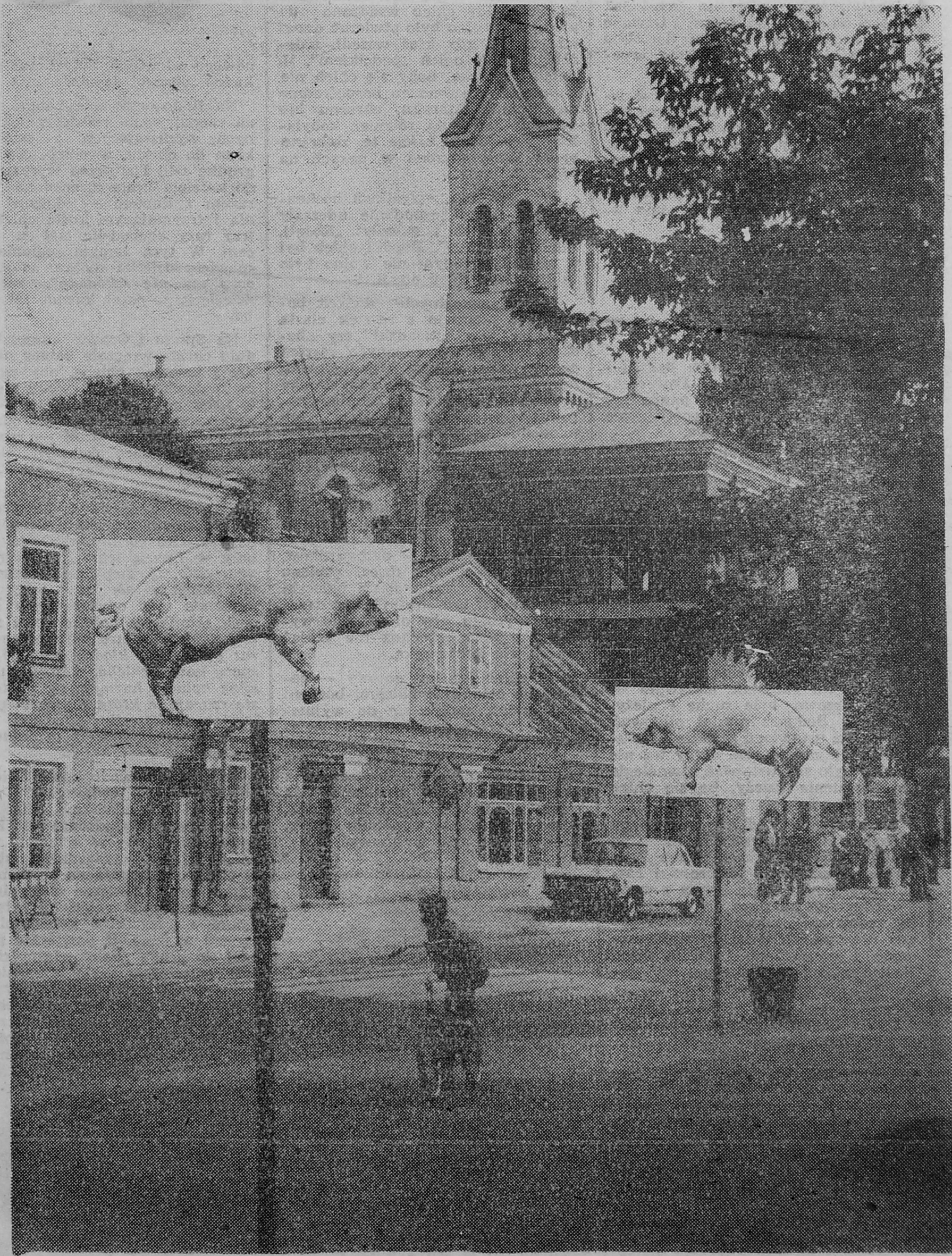
Druga rozprawa: 27.09.br.

KLASYFIKATOR: przyjąłem warunkowo.

ROLNIK: nie było mowy na ten temat.

Rozprawę odroczone.

Trzecia rozprawa: 9.11.br. Zmienia się sędzia. Radca prawny GS-u wnosi o przyzwanie przedstawiciela



moskole i krzyże

Chleb pieczono z grubo mielonej mąki pszennej, żytniej, jęczmiennej, owsianej, a nawet kukurydzianej. Do mąki dodawano różne przymieszki, jak ugotowane i przetarte ziemniaki, mąka z grochu, fasoli, soczewicy, a nawet kapusty, cebuli czy otrąb i plew. Na przednówku i w okresach głodu dodawano perz, lebiode, korę niektórych drzew. Nie polepszało to smaku, a jedynie oszukiwało żołądek.

Najczęstsza domieszka do chleba były ziemniaki. Zużywano tu głównie ziemniaki zamrażnięte, nie nadające się do jedzenia. Na wschodzie Polski jeszcze w okresie międzywojennym powszechnie były znane tzw. „krzyże” — chleb mający jedynie skorupę z ciasta, a środek z masy ziemniaczanej (mąka zmieszana w stosunku 1:3 z ziemniakami).

W dolinie nowotarskiej najprostsza forma pieczywa, wyrabianego jeszcze do wojny, był placek owsiany, jęczmienny lub żytni, z dodatkiem gotowanych ziemniaków. Zagniecione na twardo ciasto rozklaskiwano dłonią; potem pieczono na blasze lub na ruszcie w rozżarzonym popiele, którym przykrywano ruszt wraz z ciastem, albo też w zagłębieniu pieca, zwanym przypiekiem, skąd wymieciono węgiel drzewny. Góralski „moskol” (tak zwano owe placki) był zakalcowaty, na powierzchni gładki, a na przelamie ostry jak szczytka z powodu dużej zawartości plew owsa. Ze względu na duże zużycie mąki do jego wyrobu pieczono „moskole” tylko od czasu do czasu. Dawano je dzieciom do szkoły i dorosłym do ciężkiej pracy, zwłaszcza w okresie żniw.

Codziennym pieczywem jeszcze jakiś czas po II wojnie światowej były różne placki, wyrabiane z domieszki kaszy, siemienia tartego, fasoli, bobu, ziemniaków oraz owoców — jabłek, gruszek, śliwek i jagód leśnych. Wypieki te nadawały się do jedzenia jedynie w dniu upieczenia.

bochen łamany
ręką

Dobrze upieczony chleb był największą dumą gospodyni. Powszechnie uważano, że dopóki panna nie potrafi chleba upiec, dopóty nie nadaje się do małżeństwa.

*Za chłopem się napierała,
chleba upiec nie umiała,
tak się jej pięknie wydarzył:
po zaskórzu kotek łaził,
podniósł ogonek do góry,
jeszcze nie dostał skóry.*

Zasadnicze znaczenie — oczywiście poza umiejętnościami gospodyni — w przygotowaniu ciasta na chleb miała dzieża. Dzieże miały wieko ze słomy przepłataną łożną lub z drewna. Najlepsze wyrabiano z dębowego drzewa, a jeśli o nie było trudno, dawano chociaż dwie klepki dębowe. Na pozostałe nadawało się każde drzewo, byle suche i nieżywiczne. Bednarz musiał pilnować, by klepki ustawiono zgodnie z naturalną kolejnością słoi, nigdy też nie można było słoi ustawiać równolegle do promienia dzieży, bo się chleb może nie udać.

Najlepsze były dzieże stare, „po ojcach”, bo „przyswajone do chleba”. Nową dzieżę trzeba było najpierw zakwasić. Najczęściej rozrabiano w niej mąkę żytnią z wodą i zostawiano na parę dni w cieple, by zrobił się „zakwas”. Dzieży nigdy nie myto, a tylko wyskrobywano i wygładzano mokrą ręką. Jeśli zapleśniała, mówiono że „zakwitła”, i uważano to za bardzo szkodliwe.

Chleb piekło się najczęściej raz na tydzień. Rozczynianiem ciasta zajmowano się na ogół w piątek. Do dzieży lało się ciepłą wodę i dosypywało mąkę w ilości 1/2 do 1/3 z całości przeznaczanej na wypiek. Mieszano tak długo, aż ukazało się „mleko”. Wtedy stawiało się dzieżę na cienko rozestanej słomie, przykrywało wiekiem, a to — z kolei — obrusem i kożuchem lub pierzyną. Tak, w cieple, pozostawiano rozczyn na całą noc, aby kiśł. Następnego dnia rano przez zamieszanie rozczynu sprawdzano, czy pokazały się w

nim bąbelki i czy wydziela lekko kwaśny zapach.

Ciasto wyrabiano w dzieży ręką około godziny. Gdy było gotowe, na jego powierzchni rysowano dłonią krzyż i wyciskano cztery dolki w czterech rogach, w które nalewano wody. Czasem gospodyni wyciskała ręką dziurę do dna dzieży, chuchała w nią, a następnie, zagładziwszy z wierzchu, znaczyła na wierzchu krzyż. Ciepło przykrytą dzieżę zostawiano na pół dnia do wyrośnięcia ciasta. W tym czasie należało rozpalić piec. Jeśli ciasto „podchodziło” tak szybko, iż zachodziła obawa, że wyleci z dzieży, zanim się piec wypali, wówczas trzeba było położyć na wierzchu męską czapkę.

Ogień przegarniano w piecu za pomocą długiego kijaka „ożoga”, a popiół usuwano „kosiosem”, składającym się z drążka i pionowej deseczki. Do gruntownego oczyszczenia pieca używano „pomiotła” — wiechcia ze słomy, szmat lub gąsienic sosnowych, osadzonego na długim drążku. Jeśli wrzucono do pieca garść mąki zaróżowiła się, można było wsadzić chleb.

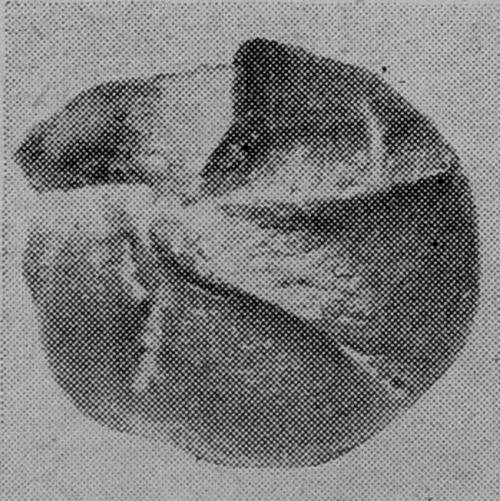
Bochenki robiono ogromne — do 20 funtów (8 kg). Posypywano je czarnuszką, kminkiem lub makiem. Dla nadania skórcie połysku polewano chleb wodą lub smarowano jajkiem. Gdy chleb wsadzano do pieca, nie wolno było otwierać drzwi od izby, a gdy ktoś wszedł, należało zasłonić ogień „podołkiem”, tj. dołem fartucha, boby się chleb nie zrumienił. Pieczono go bezpośrednio na liściach tataraku, chrzanu lub kapusty, używano również kobyłki i liści dębu. Liście te, zbierane przed zimą, suszono w pękach na ścianach chaty.

Po wsadzeniu wszystkich bochenków do pieca gospodyni uderzała łopatą w sufit i mówiła: „Rośnij, chlebusz, wysoko”. Dopóki chleb był w piecu, gospodyni nie wolno było uścisnąć, boby chleb opadł.

Oprócz normalnych dużych bochenków pieczono z resztek ciasta mniejsze, tzw. „zasadki” czy „bochenuski”. Z wyskrobanych resztek ciasta robiono małe podpiomyki, zwane „wychopienkami”. Do środka wychopienki wkładano cebulę, smarowano go olejem, masłem lub miodem. Na Kurpiach „wychopieniek” powstawał nie z resztek, a z pierwszego ciasta, i miał wielkość deski łopaty.

Jeszcze gorącym podpiomykiem, upieczonym na brzegu pieca, gospodyni obdźwiała sąsiadów, a w drugiej kolejności — domowników, głównie dzieci. Dla dzieci robiono dodatkowo z resztek ciasta bułeczki — „kukielki” lub „bądk”. Przestrzegano zwyczaju, aby pierwszego wyjętego z pieca bochna nie krajać nożem, ale łamać ręką.

Czy chleb już jest gotowy — poznawano ostukując palcami bochen: jeśli dudni, nadaje się do wyjmowania. Przytykano również do świeżo wyjętego chleba nos lub czoło: jeśli piecze, trzeba go jeszcze potrzymać w piecu. Jednocześnie z wsadzeniem chleba wrzucano do kubka z zimną wodą gałkę ciasta. Skoro tylko ciasto wypełniło kubek, chleb można było wyjmować.

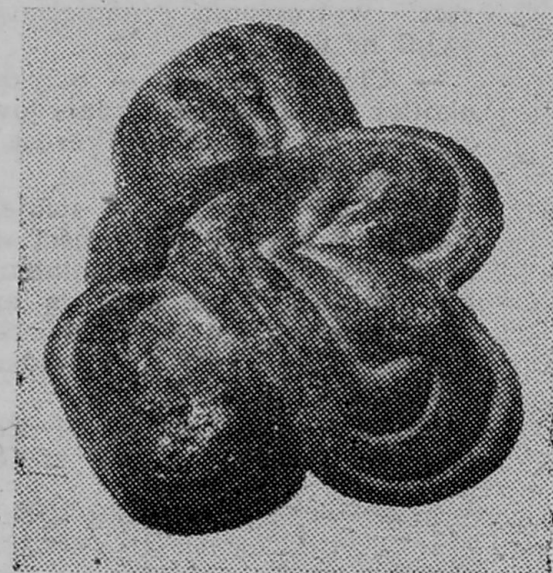


narodziny

„Po narodzinach dziecka położnica i potka (matka chrzestna) obdarzają się nawzajem pieczywem. Odbywa się to w ten sposób, że po-

łożnica przesyła przez męża potkę kolebę składającą się z kołacza, chleba lub babki. W zamian potka przychodząc na „nawiedziny” (uroczyste odwiedzin położnicy) przynosi kołacz i wódkę. Przyjęcie chleba przez potkę było symboliczną akceptacją propozycji zostania matką chrzestną, z wszelkimi konsekwencjami tego faktu.

Pieczywem obdarowywano też położną. Na Śląsku Cieszyńskim matka dziecka zwyczajowo ofiarowywała babiculi (akuszerce) przy nawiedzinach lub po chrzcinach kolebę składającą się ze słodkiego pieczywa lub białego chleba. Położna na równi z matką była traktowana jako osoba nieczysta, mająca związki z „obcym” światem. Wszak musiała znać sposoby na to, by bez szwanku przyjąć



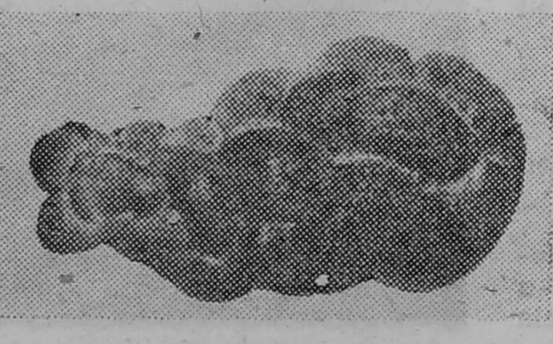
nowego człowieka, dotychczas mieszkająca „obcego” świata.

Na Białostocczyźnie babka położna zaopatrywała rodziców chrzestnych, wyruszających z noworodkiem do chrztu, w chleb, czosnek i grudkę soli. Tuż przed wyruszeniem do kościoła brała dziecko na ręce i razem z kumem — idącym przed nią i trzymającym kustę chleba — trzy razy obchodziła stół za stołcem. W tym samym regionie po spowiedzi dziecka matka, „aby złe oczy mu nie szkodziły”, zatykała dziecieniu za pasek kawałek chleba.

Na Spiszu i Orawie kumoszka w dniu chrztu wręczała babicy pieniądze i kawałek chleba, aby włożyła do zagłówek dziecka, „żeby nie było takie gołe”. Na Mazurach — razem z podawanymi przez rodziców chrzestnych pieniędzmi — zawiązało się zwykle nieco okruszyn chleba, ażeby dziecku nigdy go nie zabrakło.

Finałem uroczystości związanych z narodzinami dziecka była uczta babska. Oto co zapisał Oskar Kolberg w Lubelskiem: „Nazajutrz po wywodzie, tj. zwykle w poniedziałek, odbywa się w miejscowej karczynie tzw. odwiązywanie stołu, czyli składkowa babska uczta z hulanką. Matka nowo narodzonego zaraz po wejściu kładzie na piec dość spory kawałek chleba, wówczas wszystkie kobiety hurmem się po tę łusę rzucają, a która z nich uchwyci, łamiąc po kawałku obdźwiała inne, pilnie bacząc, aby nie była żadna pominięta”.

Do chwili wyvodu kobieta ciężarna nie mogła wykonywać wielu czynności gospodarskich. Nie spełniała zatem przyrodzonej roli. Znajdowała się jakby w sytuacji „zamkniętego” czy „zawijanego stołu”. W akcie obdźwiania się chlebem następowało symboliczne dzielenie się tymi powtórnie nabytymi własnościami z wszystkimi kobietami będącymi w izbie. U powtórnie przyjętej do grona „bab” własności te były przecież o wiele wyraźniejsze niż u pozostałych. Dla kobiet nie posiadających dzieci spożycie chleba mogło stać się rekwizitem skutecznego poczęcia. Dla niedawnej położnicy jego zjedzenie oznaczało zatem za-



kończenie okresu, w którym była niebezpieczna dla innych.

O tym, jak bardzo obawiano się kobiety w pociąg, świadczy poniższy opis z Bułgarii: „Do starych obyczajów po urodzeniu należy tzw. wtorą pitę (rodzaj obrzędowego ciasta). W kilka dni po porodzie babka zaprasza, trzymając zieloną gałązkę i geranium w ręku, młode sąsiadki i krewnie. W określonym czasie przybywają one wraz ze swymi dziećmi, przynosząc potrawy, zrywając jaja i nabiał oraz pitę, czyli okrągły, płaski, pszeniczny chleb.”

Wszyscy wchodząc podają położnicy prezent, wymieniając z nią życzenia, nie witając się jednak przy podawaniu ręki, zostawiając dziecku po jednej monecie, aby spało. Przyjęcie rozpoczyna się, kiedy babka

podnosi nad głowę pitę, obraca się na cztery strony świata, a gdy jest zwrócona ku wschodowi, podskakuje i łamie pitę na głowie. Podskakując wykrzykuje: hop! Niech rośnie dziecko!

Po jedzeniu kobiety rozchodzą się bez pożegnania i bez odwracania do położnicy, ona też nie odprowadza nawet spojrzeniem, aby nie stracić pokarmu”.

chlebowe
lekarstwo

NA ZGAGĘ. Aby pieczajka nie piekła, trzeba jeść ten chleb, co nadziera się go na nóż w czasie krojenia.

NA CHORĄ SKORĘ RAK. Odłupaniu się skóry pod paznokciami można zapobiec zagarniając kółkami palców otrąbki, sypane na topatę przed sadzeniem chleba.

NA BÓL ZĘBÓW. Kto cierpi na zęby, niech jada ten chleb, który myszy nadgryzły, a nie będą go zęby bolały ani próchniały.

NA URODĘ. Dla nadania twarzy oraz ręką białości i świeżości jakko też przeciw ogorzeliznie radzą wodą używaną podczas mieszania chleba zmywać się.



NA BÓL OCZU. Przekrawając świeży chleb, jeszcze gorący, zaraz po wyjęciu z pieca, na połowę, lecz cięcia nie doprowadzając do końca, poczem chleb miejscem rozciętym przewracając na dół i stawiając pod nim małą miseczkę ustawiając ją do makutry, obwiązując ją ręcznikiem, aby para nie wychodziła z chleba. Po dwu godzinach makutrę odwiązując, zbierają z miseczki kilka kropeli pary do buteleczki i 3 razy dziennie rano, w południe i wieczór zapuszczają do oczu.

NA BÓL GŁOWY. Pławiać w szklance wody trzy kawałki chleba i trzy kawałki węgla. Jeżeli węgiel wpięty tonie, to mężczyzna czary zadał, jeżeli chleb, to kobieta. Po czym wodę wylewają w cztery kąty izby.

NA WYPADNIĘCIE ODBYTNI-CY. Wypadniętą część kiszki wypychają napowrót koniecznie czwartym palcem u prawej ręki, poczem sadzą chorego na miejscu ogrzanym bochenkiem chleba, świeżo z pieca wyjętym.

NA ŻÓLTACZKĘ. Dożył jest 9 wszy przeknąć na czczo, rozdzielać po 3 w jedno danie w chlebowej pigułce.



wróźby magiczne

- ◇ Gdy w piecu dwa chleby razem się zrosną, to małżeństwo żyje długo i dobrze im się powodzi.
- ◇ Kto zjada przylepki ze świeżo upieczonego chleba, ten bywa szczęśliwy w miłości.
- ◇ Kobieta myszy ani zabić, ani do reki wziąć nie może, bo się jej chleb nie uda.
- ◇ Jeżeli chleb z masłem upadł na podłogę tak, że masło zostało pod spodem, to ten, który ów chleb opuścił, zubożeje; wzbogaci się, jeśli masło zostało na wierzchu.
- ◇ Gdy się chleb w piecu przewróci, gości należy się spodziewać.
- ◇ W które drzewo piorun uderzy, to nie można nim na chleb palić ani jedzenia na nim gotować, bo sadza w kominie zapali się i na chleb to niedobrze wpływa.
- ◇ Wyjawszy chleb z pieca trzeba szybko oblać zimną wodą, żeby w piekle dla duszy nie żalowała wody.
- ◇ Nie można wyjawszy pierwszy bochenek z pieca krajać go nożem, a tylko trzeba go łamać, bo chleb do siedmiu razy się nie uda.

krąg z „nowym latkiem”

Na Boże Narodzenie pieczono parę rodzajów chleba: chleby zwykłe podobne do dzisiejszych ciast, a także drobne bułeczki dla kołédników i dzieci. Na Mazowszu, kiedy gospodyni wyrobiła już ciasto i zostawiła je, aby rosło, szła do sadu, obcierała uwalane ciastem ręce o korę jabłoni i grusz ruchem do góry. Niekiedy robiła to specjalnie w koszuli i boso, aby drzewa lepiej rosły.

W wielu regionach kraju pieczono z okazji Bożego Narodzenia lepsze, podobne do dzisiejszych strucle. Były to długie pszenne bułki ozdobione z wierzchu plecionką. Strucle wkładano do pieca najgłębiej, po nich dopiero — chleb.

„Gospodyni wkładała najpierw do pieca bochenek przeznaczony dla męża, drugi dla siebie, potem dla dzieci, a reszta dla biednych i służby. Jeśli bochenek gospodarza upieczę się dobrze i nie popeka na nim skóra, to gospodarz przez cały rok będzie zdrow i szczęśliwy. Gdy bochenek gospodyni okaże się ładnie wyrosnięty, to mąż pije jej zdrowie. Gdyby się zdarzyło, że w czasie pieczenia wejdzie do chaty dziadówka, to gospodyni odprawia ją z kwitkiem, a równocześnie wysyła do sąsiada swą córkę o pożyczanie czegośkolwiek, gdyż to przeciwdziała czarom i przynosi szczęście, jakie chciała z domu zabrać czarownica.”

O wschodzie słońca ktoś z domowników szedł po wodę i starał się być pierwszy, aby mu sąsiad jej nie zmacił. Wlewano ją później do cebrzyka, wrzucano doń pieniądze i chleb, po czym wykorzystywano do porannego mycia, by „wszyscy byli zdrowi, mieli chleb i pieniądze, aby ich ludzie tak radzi mieli, jak mają chleb i pieniądze.”

Najpopularniejsza chyba w całej Polsce była wróżba o urodzaju: między żytni chleb i pszeną strucle kładziono nóż i zostawiano wszystko na stole do Nowego Roku. Wtedy dopiero sprawdzano, z której strony nóż zardzewiał — jeśli od strony chleba, będzie zaraza na żyto, a jeśli od strony strucle — na pszenice.

„Szczodraki — drobne chlebki w kształcie podkowy, rogala czy okrągłej bułeczki — gospodyni przygotowywała z najlepszej mąki, często nadziewała kapustą, serem, bura-kami, cukrowym. Jeśli rok był nieurodzajny, szczodraki były małe

„jak oko”. Lepsze czy gorsze musiały być w każdej chacie. Zależnie od regionu przygotowywano je na Wigilię Bożego Narodzenia, Trzech Króli lub Nowy Rok — na ten dzień, kiedy spodziewano się kołédników.

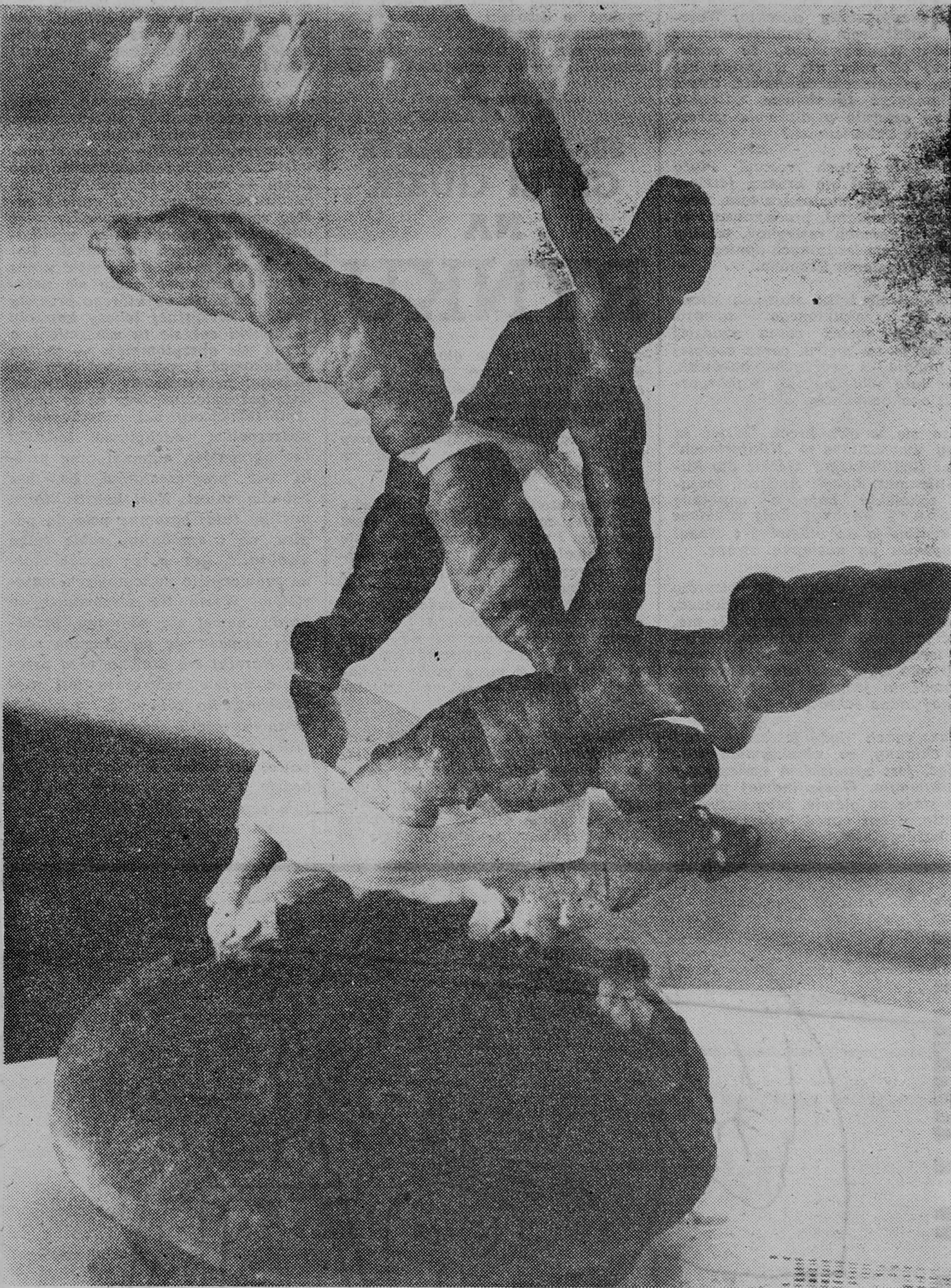


Szczodraki leżały najczęściej w misce, aby każdy z kołédników mógł wziąć jednego. Jeśli niczego nie dostali, to mówili: „Jakżeście nie spiekl, żebyście się wściekli”.

Jedną z ładniejszych form pieczywa obrzędowego były „nowe latka”.

CHILEBIE

Wybrała ALICJA ZAGÓRSKA



Zrobione z białej mąki — przedstawiały różne zwierzęta: krowy, konie, owce, świnię, gęsi, kury. Ustawiano je na okręgu zrobionym z ciasta. Wypiekano także — służące do wróżb — krzyże pierścionki, figurki dzieci. Te ostatnie chowano pod miski dla panien i kawalerów. Kto odkrył krzyż, temu przeznaczony był stan duchowny, kto pierścione — małżeństwo; która z dziewcząt odkryła dziecko, miała doczekać się małżeństwa przed ślubem.

Na Kurpiach figurki zwierząt dawano do zabaw dzieciom; pilnowano jednak, aby po zakończeniu zabawy wypieki te zostały zjedzone. Chlebki



nie mogły się poniewierać. Najczęściej lepiono figurki tych zwierząt, które hodowano i po których spodziewano się przychówku. Niekiedy cały krąg z „nowymi latkami” wieszano na nitce u sufitu w tzw. świętym kącie, gdzie wisał obraz lub stała święta figurka.

Wypieki
JANA SZCZUBELKA
ze Zbójnej



Mówił mi niedawno pewien za-
przyjaźniony dyrektor Woje-
wódzkiego Przedsiębiorstwa
Handlu Wewnętrznego, że mniej
więcej od roku nie wpłynęła ani
jedna reklamacja na meble. Czym
wy tłumaczyć to dziwne zjawisko;
czyżby ostatnio gwałtownie wzros-
ła jakość bubłosciarek?

Otóż nie z tych rzeczy. Płyty
wiórowe nadal się kruszą, fotelom
odpadają nogi, madejowe łóża, zwa-
ne amerykańkami, produkowane są
chyba w ramach restrykcji, według
wzorów zatwierdzonych przez sa-
mego prezydenta Reagana.

Zmienił się tylko stosunek klien-
ta do zakupionego towaru. Dźwigacze
mebli coraz rzadziej
wnoszą je na piętra, coraz częściej
do piwnic i różnych boków,
gdzie leżą sobie później w fabrycz-
nych opakowaniach.

Łza się w oku kręci. Gdzież są
czasy uwiecznione w „Nikiformach”
przez Redlińskiego? Gdzież ów kli-
ent-pieniacz, Łucyk Andrzej, toczą-
cy zakiekie boje o wymianę
wroźnej kanapy? Dziś zapewne
wstawiliby ją do chlewika i stanął
w ogonku po następnej atrakcji.

W sklepach brakuje telewizorów
(nawet czarno-białych), lodówek,
pralek, nie ma odkurzaczy. Nie ma,
choć ich produkcja w gruncie rze-
czy wcale nie jest taka mała. Trwa
społeczna wyprzedaż pieniędzy: trzy
lodówki w jednym mieszkaniu to
dzisiaj żadna sensacja.

Nasz rynek nigdy jeszcze nie był
tak chłonny, co, obiektywnie oce-
niając, jest zjawiskiem nadzwyczaj
pozytywnym. Gdzie indziej produ-
cent staje na głowie, żeby pozyskać
klienta, u nas naród kupi wszystko
i w każdej ilości.

Równowagę rynkową można u-
zyskać w dwojaki sposób: przez
zwiększenie produkcji lub podnie-
sienie cen do takiego pulapu, że
człowiek, zanim cokolwiek kupi,

RYNEK SUPERKONSUMENTA CZYLI GUZIK NA RYNKU

najpierw dobrze w głowę się po-
drapie. Lecz skoro produkcja, z
różnych powodów, zwiększyć się nie
da, zaś gwałtowne podniesienie cen
jest niewskazane ze względów spo-
łeczno-socjalnych, to jakie mamy
wyjście z sytuacji? Losowania w
zakładach pracy?

Stanowczo protestuję przeciwko
takiemu rozwiązaniu. Nie mam
szczęścia i nigdy jeszcze niczego nie
wylosowałem, a poza tym: czy moż-
na obarczyć ślepy przypadek odpo-
wiedzialnością za mój materialny
dostatek? Wylosuję, powiedzmy, lo-
dówkę zamiast okurzacza. Lodówkę
posiadam, odkurzacza mi się rozsy-
pał. I co, mam zamrozić kurz w
mieszkaniu? A może pójdę na ba-
zar i dokonam stosownej wymia-
ny?

Nie zgadzam się również na ża-
dne talony czy asygnaty. Te trafia-
ły i zawsze będą trafiać do jedno-
stek — z takich czy innych powo-
dów — uprzywilejowanych, a ponie-
waż do takich nie należę, zgrzytam
zębami widząc, że ktoś dostaje od

państwa lekką ręką pół miliona zło-
tych, moją dwuletnią pensję; tyle
się teraz zyskuje już nie na polo-
niezie, ale na zwykłym „maluchu”
nawet.

Problem ten, przyznaję, przez
dłuższy czas spędzał mi sen z oczu.
Długo myślałem i chyba wreszcie
coś wymyśliłem. Nie jestem ekono-
mistą, ale będąc obywatelem tego
kraju — morę zabierać głos w
sprawach istotnych dla mnie i ca-
łego społeczeństwa. Proponuję więc
następujące rozwiązanie, wynika-
jące z logicznych przesłanek. Po-
nieważ towary przestały mieć u nas
wartość użytkową, stały się nato-
miast bankiem, od którego przejęły
funkcję korzystnej lokaty kapitału
— dopóki coś się tu nie zmieni, a
naród nie oprzytomnieje — można
produkować i sprzedawać dwa ich
rodzaje: pełnosprawne, lecz drogie,
oraz bezużyteczne, lecz za to tanie,
czyli telewizory bez kineskopów i
podzespołów odchylania, lodówki
bez agregatów, automatyczne prał-
ki bez programatorów, ba, bez
bębnow nawet. Nasi konstruktorzy
mieliby tutaj ogromne pole do po-
pisu, no i spróbujmy sobie tylko
wyobrazić, ileż w ten sposób moż-
na zaoszczędzić deficytowych mate-
riałów. Warto też wspomnieć, że
każdy, nawet nie używany, przed-
miot rozpada się po pewnym cza-
sie. Korniki żrą drewno, rdza prze-
grzyza metale, żab czasu jest nie-
ubagany. Po cóż więc, u licha,
marnieje całe to dobro doczesne. Po
kilku czy kilkunastu latach, jeśli
nawet do końca się nie rozpadnie,
będzie technicznie przestarzałe, a
tym samym — guzik warte.

WIESŁAW JANICKI

Przed zapaleniem choinki

A podobno jest gdzieś ulica
— Lecz jak tam dojść? Którędy?
Ulica zdradzonego dzieciństwa
Ulica Wielkiej Koledy...

Odkąd tylko pamiętam, w
moim domu zawsze były
choinki. Duże i małe, bogate i
biedne. Drzewka stały w cen-
tralnych punktach różnych po-
koi, w jakich przyszło mi spęd-
zać kolejne święta. Ubrane w
kolorowe bombki, albo tylko
w wycięte z papieru zabawki,
zawsze pachniały tak samo. W
powietrzu unosiła się subtelna
woń żywicy zmieszana z czymś
jeszcze — z niepowtarzalnym
zapachem rodzinnego ciepła.

Na ulicy tej taki znajomy,
w kurzu z węgla, nie w rajskim
ogrodzie,
stoi dom jak inne domy,
dom, w którymżeś się urodził...

Mojego domu już nie ma.
Miejsce, w którym przed pół
wiekiem przyszedłem na świat,
dzisiaj jest zaledwie abstrakcyj-
nym punktem na mapie. Czas
zwałił fundamenty, ludzie za-
sypali ślady. Pozostało wspom-
nienie kładące się na duszy
ciężkim kamieniem. Bezasad-
ny żal za tym, co minęło bez-
powrotnie. Głupi lament nad
koniecznością przemijania.

Ten sam stróż stoi przy bramie.
Przed bramą ten sam kamień.
Pyta stróż: „Gdzieś pan był przez
tyle lat?”

„Wędrowałem przez głupi świat”...

Wędruje się przez całe życie,
w przestrzeni i w czasie. Jeśli
czas jest funkcją przestrzeni a
przestrzeń pochodną czasu,
człowiek nigdy i nigdzie nie
może być w tym samym miej-
scu dwa razy. Nie może być też
tym samym człowiekiem, z
czym najtrudniej nam się po-
godzić.

Więc na górę szybko po schodach.
Wechodź. Matka wciąż taka
młoda.

Przy niej ojciec z czarnymi
włosami.
I dziadkowie. Wszyscy ci sami...

Ale człowiek tym się różni
od kamienia czy stopnia dREW-
nianych schodów, że w każdej
chwili może wrócić pamięcią
do najodleglejszych nawet cza-
sów.

Pamięć przeczy logice życia,
które jest wiecznym ruchem.
Pamięć jest życiem, bo tylko
ona nadaje mu głębszy sens.
Łącząc wczoraj z dzi-
słaj i jutro niweluje dzia-
łanie czasu. Wraca życiu czar-
ne wąsy ojca, dawno już na
proch zetlałe.

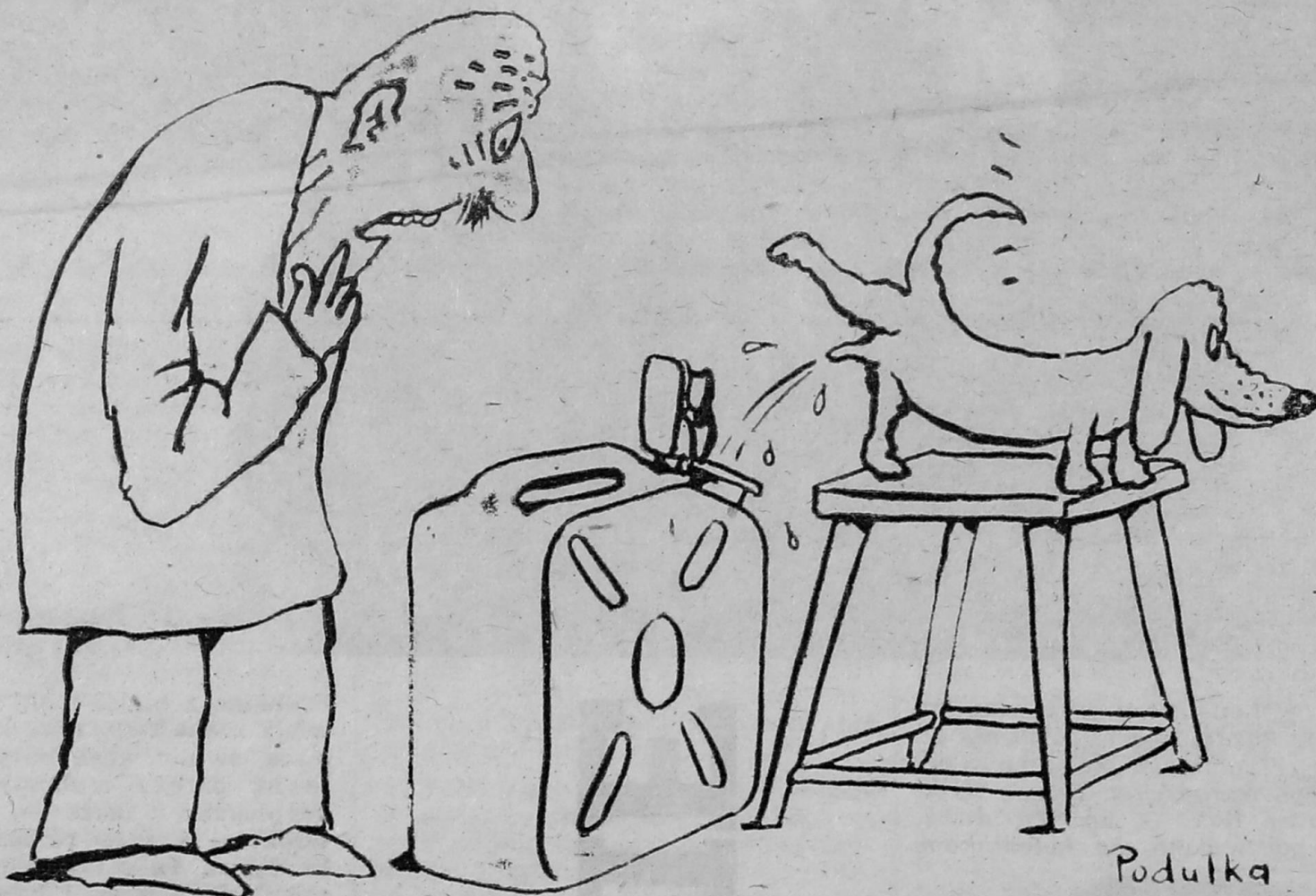
Właśnie ojciec kiwa na matkę,
że już weszła Gwiazda na niebie,
że czas się dzielić opłatkiem,
więc wszyscy podchodzą
do siebie...

Co roku, w wigilijny wie-
czór, dzielę się opłatkiem z ty-
mi, co odeszli. Nie opuścili
mnie przecież. Jestem z nimi,
więc i oni są przy mnie. Gał-
czyński, którego wiersz tu cy-
tuje, wiedział o tym najlepiej.
Ale szał, nie trzeba tego głośno
mówić.

Jest cicho. Choinka płonie.
Na szczycie cherubin fruwa.
Na oknach pelargonie
blask świeczek złotem zasnuwa...

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

WESZ W PRZELYKU



Podulka

Nawet najbliższe poruszenie
żywiu mowy wiąże się z
nie lada ryzykiem. Raz bo-
wiem chodzi o to, by było mądrze,
a nie śmiesznie, innym razem u-
ciecha jest ważniejsza od mądro-
ści, czasem zaś konieczne się staje
pożenienie jednej z drugą. Sam
wielekroć stałem przed wyborem,
zwłaszcza przy toastach, jak mówić:
pięknie czy rozsądnie? Na szczęście,
współbiedniacy moi nie są nadto
pamiętliwi, więc na razie nie jes-
tem bohaterem anegdoty, jak ta o
złotoustym mecenasie, który uczci-
wie uczciwszy narodziny pierwo-
rodzonego, wybronił swego klienta
słowami: „Griula kari mani phazel”
itd. Sile jego argumentów nie oparł
się nikt, bo któż potrafi walczyć ze
śmiechem.

Nie więc dziwnego, że niejedną z
nas, nim wypowie słowo, przeżywa
dziwne zżalenie, jarmolenie, krępację,
wreszcie coś niby drapanie, swędze-
nie, łaskotanie w gardle. Zupełnie
jak przy wigilijnym stole, tyle że
wówczas wystarcza symbol-gest
przełamania opłatka. Brak słów
można wtedy tłumaczyć wzrusze-
niem.

Czasem jednak emocję trudno
uzasadnić, trzeba więc dać głos.
Właśnie, czy trzeba? Zawrotu głó-
wy dostaje się choćby przy lektu-
rze przysłów o mowie i milczeniu.

Mruk jawi się w nich bogaczem
(„Milczenie jest złotem”) lub głup-
cem („Milczenie głupca jest złotem,
mowa — srebrem”), choć też nie-
ubogim. I bądź tu człowieku mądry!

Pewien znajomy malarz, któremu
mowa wiązana bynajmniej nie ko-
jarzy się z „wiązaną”, przeżywał
katusze przygotowując referat pod-
sumowujący prognozujący niewąt-
pliwą dorobek swojej firmy. Dość
gładko mu poszło, gdy pisał o o-
siągnięciach. Nie było się czego
wstydić! Lecz po dobruściu do za-
mlerzeń utknął. Stanął przed pro-
blemem, jakiego w swej pracy nie
spotkał. Robota była ściśle aptekar-
ska. Musiał wywazać stosowność
słów. Ot, przykładowo: „musimy” i
„winniśmy”. To pierwsze akcentuje,
i słusznie, obowiązek, zarazem nie-
słowo w sobie coś z zewnątrz. Spra-
wia wrażenie, jakby ów „mus” pły-
nął nie z własnego poczucia, ale
pochodził od kogoś innego, może
nawet obcego. Zgrabne w dobie
konsultacji, ale jak tu poradzić so-
bie z samorządnością. Nie wspo-
minając o samofinansowaniu.

Z kolei „winniśmy” też wywiera-
ło nań złe wrażenie — nieodmien-
nie kojarzyło mu się z wi-
ną, winem itp. duperelami. Już
był skłonny użyć „powinniśmy”,
ale wszystko zaczęło się od począt-
ku. W dodatku spokój ducha bu-

rzyła mu rozbieżność między powin-
nościami a realiami, toteż nie zda-
żył zauważyć nawet mniejszej kon-
kretności tego słowa, która aż wo-
ła — a przynajmniej dopuszcza —
chwilowe, przejściowe, zawsze o-
biektywne.

Wymęczony tymi rozterkami —
nie miał już odwagi posłużyć się
„zrobimy”. Nie czuł w sobie kwa-
lifikacji do kategorii władców (co
by usprawiedliwiała pluralis maiest-
taticus) ani też do pluralis tantum
(skutek zupełnie identyczny). Zdał
sobie sprawę, że potrafi określić,
co może zrobić własnymi rękami, i
nie nadto.

Toteż mimo wysiłku, jaki włożył
w przygotowanie owego elaboratu,
reakcja zgromadzonych była kon-
sternacja i milczenie.

Bardziej się spodziewał co pra-
wda burzy protestów — wyszło bo-
wiem na to, iż w najbliższym o-
kresie rozrachunkowym wykona on
tyle, ile jego firma w poprzednim
— ale życie, całkiem jak w pio-
sencie, coraz przekonuje, że prze-
rosło kabaret.

Czasem nachodził mnie więc myśl:
lepiej miast mówić to, co jest o-
czekiwane lub też co by powiedział
wypadało, rozpocząć inny wątek.
Na przykład — o wszy.

W. STRZELEC

Rys. Andrzeja Podulki



W historii tej muzyki spłotło się kilka różnych wątków. Pierwszym był, oczywiście, gwałtowny wzrost popularności swingu w końcu lat trzydziestych i na początku czterdziestych. Dopiero później rozdzieliły się nowe kierunki i mody, powrócił stary nowoorleański jazz, utrwalił się w rozrywce blues. Działo się to w USA, więc próbowano zamienić tę muzykę w dolary. Istniał już masowy rynek odbiorcy muzyki lekkiej: nie tylko widzów w salach teatrów muzycznych, ale przede wszystkim słuchaczy radia i płyt oraz kinomanów. Ta potężna masa ludzi, żyjących innym rytmem i wśród innych wartości życiowych niż mieszkańcy Europy, wymaga potężnych efektów w przemyśle, architekturze i sztuce, w tym także muzyce, efektownej

mały

zarówno wspaniałością brzmienia, jak i aranżacją, bezkonkurencyjnej kompozycyjną.

Tego oczekiwali ci wspaniali ludzie schyłku epoki naiwnej wiary w nieustanny, porywający rozwój człowieka i ludzkości. Przydało się to nieco później, kiedy na frontach II wojny zabawiali przed bitwami żołnierzy, gwiazdy filmu, estrady, piosenki i wielkie zespoły muzyczne — big-band. Te najsławniejsze prowadzili Duke Ellington i Glenn Miller. Tak „wielkie zespoły” weszły na stałe do muzyki. Stworzyły nie tylko styl wykonawczy i kompozytorski, ale również określoną kulturę muzyczną.

W Polsce niewiele było big-bandów; ich utrzymanie jest kosztowne. Spamiętałem „Błękitny Jazz” pod Darmoszem, jakieś próby Kazanecznego w Katowicach i kilka dorocznych przedsięwzięć, których liderów zatałał czas. Dziś mamy co najmniej trzy dobre orkiestry rozrywkowe, związane z rozgłośniami RTV: Henryka Debicha, Zbigniewa Górno, i Jerzego Miliana, każda lubiana i związana z określonymi solistami. Bowiem mimo zalewu muzyki młodzieżowej — innej wciąż jest za mało.

Z prawdziwą więc radością prezentuję łomżyński big-band. Bezpośrednią tego przyczyną była audycja radiowa tego zespołu. Chociaż nagrywana na archaicznych urządzeniach Białostockiej Rozgłośni PR (techniką sprzed ćwierćwiecza) nie robiła wrażenia debiutu antenowego. Nic zresztą dziwnego: zespół — poza dwoma — tworzą muzycy zawodowi, grający w tym samym składzie prawie dwa lata.

— Wszystko zaczęło się jeszcze w 1979 roku, kiedy na festiwal do Kraśnika zakwalifikował się z naszego województwa jeden zespół: kapela z klubu „Bonar” — mówi twórca big-bandu, Waldemar Borusiewicz. — Przed Kraśnikiem jednak były eliminacje strefowe, a w tych łomżyńscy szans nie mieli. I wtedy Urszula Kazimierska, kierująca me-

właściwie skończyła. Wkrótce lider wyjechał na studia do Białegostoku, muzycy się porozchodzili i rozjechali, a w Łomży oczkiem w głowie władz stała się Orkiestra Kameralna, Towarzystwo Muzyczne było zbyt biedne finansowo i kadrowo, aby podjąć się opieki nad zespołem, ale idea nie zginęła. Dopinaniem twórczego niepokoju był fakt, że w całej północno-wschodniej ćwiartce Polski nie ma takiego ansamblu.

Uruchomienie Domu Środowisk Twórczych było momentem rozstrzygającym. Główny demiurg i animator tej placówki, Wiesław Sielski, zachęcał do pracy, obiecując wyposażenie na najwyższym poziomie. I tak się stało. Następczyni Sielskiego, Joanna Zwolińska, sezon 1981/82 poświęciła big-bandowi: po-



rytoryczną pracę Wojewódzkiego Domu Kultury, zaproponowała mi, abym zajął się zespołem. Namówiła dwóch czy trzech znajomych deklatorów, bo o instrumenty dęte blaszane trzeba było rozbudować „bonarowców”, poczytyliśmy i w Białymstoku zajęliśmy pierwsze miejsce.

W Kraśniku znaleźli się w trójce laureatów (nagradzano po trzy zespoły we wszystkich rodzajach zbiorowego muzykowania), przywieźli dyplom do Łomży i... sprawa się

chlonał on prawie wszystkie pieniądze Miejskiego Domu Kultury, za które kupiono wysokiej klasy aparaturę i instrumenty.

Dobra wizytówka pracy zespołu były krótkie występy w Klubie „Stale Zajęcie” oraz koncerty dla szerokiej publiczności w czasie świąt państwowych. Rozpoczęły się też pierwsze występy poza Łomżą, w gminnych ośrodkach kultury, w klubach „Ruchu”.

— Repertuar opierał się i opieramy na najlepszej współczesnej

spółce autorskiej Polston-Peter Layne-Bert Page. Niektóre standardy aranżuję sam, a także komponuję — mówi Waldemar Borusiewicz. — Zresztą każdy utwór muszę opracowywać na nasz zespół, który, co tu mówić, ma nie całkiem pełny big-bandowy skład. Występowała z nami radiowa piosenkarka, Maria Jakoniuk z Białegostoku oraz miejscowe gwiazdki: Mariola Wałkuska (przez cały czas), Bożena Tarnacka (szkoda, że wyjeżdża za granicę) i Waldek Samordak.

I co dalej? Odpowiedź na to stereotypowe pytanie ma w tej chwili niezwykle znaczenie. Zespół osiągnął już taki poziom profesjonalizmu, że konieczna staje się jego normalna eksploatacja, a więc stałe tury koncertowe, nagrania dla Radia, współpraca z dobrymi solista-

BIG BAND

mi, przygotowanie pierwszej płyty. Jednym słowem: wprowadzenie łomżyńskiego big-bandu na krajowy rynek muzyczny. Inaczej wszystko „weźmie w łeb”: część muzyków zrezygnuje, bo nie będą mogli pozwolić sobie na dalsze bezpłatne próby, jeśli nie zdyskontują ich sobie płatnymi występami, inni odejdą grać w Polskę albo odfruną dalej. Kilku będzie próbowało robić coś na miejscu. I wtedy dopiero będzie żal straconej szansy. Komu? Tym, którzy kiedyś wspomną życie muzyczne Łomży?

A może połączone siły Domu Środowisk Twórczych i Towarzystwa Muzycznego, przy nie malejącej pasji muzyków z big-bandu, pokonać zwykłą kolej rzeczy, aby przemienić ją w niezwykłą. Przecież kilka takich spraw udało się zdziałać łomżyńsiakom. I takie są moje świąteczne i noworoczne życzenia dla big-bandu i jego słuchaczy.

ANDRZEJ JASION
Fot. WOJCIECH SURAWSKI

17

KONTAKTY

25—31
XII 1983

prezentacje

Ordynat Helena Mniszek Michorowski 32

I było groźniejsze od wielu skrytykowanych postanowień. Znalazła się w przestrzeni brzemiennej w najważniejsze wypadki swego życia. Czula to i drżała z lęku, z egzaltacji unoszącej ją na rozdroża. Ordynat majaczył z oddali, jak oaza ginąca wśród nowych wód, Brochwicz rysował się nikłym wzorem, chociaż go co dzień widywała. Tonął w chaosie nowych pojęć, które osnuły Lucię z władzą hipnotyczną.

Wypukło odbitym w jej wyobraźni był tylko Bohdan. Działal na nią tyranicznie, denerwował często swoją argumentacją, miazdżył jej wolę, stawiał motywy miarodajne.

Lucia, podniecona bardzo już bliskim dniem ślubu, pełna kolizji, chwytając się rozpaczliwie dowodów Bohdana i łaknąca rozwiązania zagadki, bez uwagi na to wszystko, co ją przedtem wstrzymywało. Michorowski mówił do niej coraz śmielej, odczuwał swoją przewagę, stał się arbitralnym. Lucia błędziła w domysłach, co Bohdanem powoduje. Głównie tłumaczył jej, że ona nie może wychodzić za Brochwicza, ponieważ go nie kocha i że nie kochała również ordynata miłością wyłączną kobiety do mężczyzny, jedynie czciła go i wielbiła w nim ideał wymarzony.

Lucia zdumiewała się często trafnością spostrzeżeń Bodzia i w skrytości duszy przyznawała im słusność. Wpadła w rebus z własnym sumieniem. Rozmawiali raz szczególnie gorączkowo. Lucia była zdecydowana co do Brochwicza, ale wyrzucała Bohdanowi krzywdę, jaką czynił niwecząc jej wiarę w miłość dla Waldemara.

— Nie znasz mojej psychologii — rzekła z pasją.

— Owszem, Luciu. Twoją psychologię poznałem, i powtarzam: nie kochałaś go miłością prawdziwą, głęboką i tą jedyną, tą wielką! Szalałaś za nim od lat dziecińczych, potęgowałaś w sobie ten szal z lubością, żyłaś w sferze egzaltacji i uwielbienia dla ordynata. Wierzyłaś go jako człowieka szerokich idei społecznych, jako wzór człowieka, godnego najwyższego szacunku i miłowania. Lecz to jeszcze nie miłość pełna i święta.

— Bohdanie! Zmiłuj się! Nie profanuj ołtarza, na którym tyle lat składałam ofiary z mego serca, z duszy!

— A teraz sama ten ołtarz burzysz — przerwał Bodzio z goryczą — Ach! Luciu, czy ty rozumiesz, co popełniasz? Kilka lat marzyłaś o Waldemarze.

— Kochałam go.

— Nie, marzyłaś tylko. W marzeniach dziecińczych, potem w dziewiętych, idealizowałaś go stale, aż stał się twym geniuszem. Zaręczyłaś się z Brochwiczem dlatego, aby pobudzić ordynata do czynów stanowiących.

— Lucia spuściła oczy, usta jej drżały.

— Co i kiedy między wami zaszło, nie wiem, ale sądzę, że w Głęboczych na jesieni przekonałaś się, że ordynat nigdy ciebie nie kochał. Odgadłem to po tobie i po wuju. Cierpiełem, bo chciałem dla was szczęścia. Ale cierpiełem stokroć więcej po otrzymaniu zawiadomienia o twym fatalnym ślubie. To mnie przełamało; moje zamiary stały się już niewzruszone. Jestem — i nie pozwalam! Brochwicza nie zaślubisz.

— Drażnisz mnie, mój drogi! Proszę, abyś nie interesował się mną. Co robię z rozmysłem.

— Ale ratunku pragniesz — rzekł Bodzio.

(Cdn.)

Lucia patrzyła jakby nie rozumiejąc. Przerażenie jej rosło. Spazmatyczny śmiech runął z jej piersi.

— Mnie ratować?! Ha, ha! Za późno! Mój ślub za kilka dni.

— Otrzymałem zaproszenie i na szczęście zdażyłem, aby zerwać to małżeństwo. Nie wierzyłem do ostatniej chwili, że popełnisz taką niegodziwość.

— Bohdanie!

— Tak, niegodziwość. Ale ja na ślub nie pozwalam! Ślub się wasz nie odbędzie, bo to byłoby zbrodnią.

Baronówna wyrwała ręce z jego uścisku. Brwi jej się zbiegły.

— Jakim prawem to robisz?! Kto cię upoważnił? — zawołała wzburzona.

Bodzio zapłonął.

— Prawem jest mi moja własna pewność, że czynię dobrze, że cię zatrzymuję w tym szalonym, nieprzemyślnym pędzie do zatury, że pragnę twego szczęścia. A na twą zgubę nie pozwolę!

— Jeśli chcę jednak zatury?

— Kłamiesz!

— Chcę i dopnę celu!

— To nie cel, to upór, to kaprys. To... zemsta.

— Bodzio! Jak śmiesz?!

Michorowski delikatnie objął palcami jej dłoń, zajrzał głęboko w oczy dziewczyny. Ona znieruchomiała. Usiadła na fotelu, Bohdan zajął sąsiednie miejsce.

Oboje milczeli.

W duszy Luci rozsnawał się niepokój, oświeciła ją nagle trwoga, jakby chęć do ucieczki. Bała się spojrzeć na Bohdana, by w oczach jego nie odczytać wyroku na siebie. Ten Bodzio, wesoly kuzyn, od razu w umyśle jej spotęniał, stał się nowym i ciekawym.

Nawet zastraszającym.

„Po co on przyjechał? Co znaczą jego słowa?”

Pytania wirowały w mózgu baronówny, uparte, domagające się wyjaśnienia prawdy.

Bohdan ją zainteresował, lecz jednocześnie jakby ogłuszył. Wrażenia, wręcz przeciwnie sobie, gromadziły się natarczywie. Serce Luci uderzyło parę razy wielką wdzięcznością dla Bohdana, aż oto znowu Brochwicz wypłynął na serdecznych falach jej uczuć. Obudziła się śpiąca etyka i myśl głęboka, owiana apatią, lenistwem, beczynne szarpnęły się, oburzone za spokój zmacony do dna. Senne majaki moralności zostały przez Bodzia targnięte zbyt gwałtownie. Więc dominowała niechęć.

„Po co on mnie otruwa? Chcę spać, nawet w udręce snów tragicznych. Idąc na przepaść, nie chcę otwierać oczu. Po co on mi je otwie-

ROBIN



W świątecznym tygodniu proponuję wrócić do piosenek, wokalistów, muzyków i zespołów, które w mijającym roku zrobiły na nas największe wrażenie. Już za kilka dni, 1 stycznia o 10.15. Rozgłośnia Białostocka Polskiego Radia przedstawi w programie II ponad godzinny program podsumowujący muzyczne dokonania 1983 roku. Dziś, w świątecznej atmosferze, proponuję garść informacji, ploteczek na temat dwóch wykonawców, których utwory być może znajdują się w czołówce plebiscytu radiowego „Przebój '83”.

Dokładnie rok temu Robin Gibb, jeden z „wielkiej trójki” braci, przystąpił do nagrywania swojego solowego albumu „How Old You Are” („Ile masz lat”), chcąc zapewne w ten sposób wyjść z cienia gwiazdy swojego brata — Barry’ego. Płyta została przyjęta przez krytyków z uznaniem; utrzymana w klimacie muzyki „Bee Gees” — może się podobać. Najważniejszym przebojem z tego LP jest niewątpliwie „Juliet”, lansowana do obłędu w wakacje przez chyba wszystkie rozgłośnie świata. Robin nie przypuszczał za-

pewne, że piosenka — skomponowana w ciągu zaledwie godziny — stanie się szlagierem i ściągnie nań zainteresowanie publiczności. Swoich sił jako solista próbował już Robin w 1969 roku utworem „Saved By The Bell”. Wtedy nie wyszło.

Urodził się 22 grudnia 1949 roku w Douglas, ma 179 centymetrów wzrostu, brązowe oczy i włosy. Oprócz niego w skład rodziny wchodzi: Barry, Maurice, Andy i Leslie. Wszyscy bracia są dziś muzykami. Oprócz Andy’ego wszyscy grają w „Bee Gees”, zarabiając grube miliony dolarów.

Ostatnio jednak szczęście nie sprzyja braciom Gibb; niedawno wpłynął do sądu pozew oskarżający zespół o popełnienie plagiatu. Oskarżyciel, niejaki Ronald Sell, twierdzi, że jest kompozytorem utworu „Let It End”, do złudzeń przypominającego piosenkę Barry’ego Gibba „How Deep Is Your Love”, wykonywaną w filmie „Gorączka sobotniej nocy”. Ekspertcy są po stronie nieznanego kompozytora, który swój utwór zarejestrował w 1975 roku, gdy utwór Gibba został „skomponowany” dopiero w dwa lata później.

Jak skończy się plagiatowa afeta? Wygląda na to, że bracia stracą ładnych parę milionów i twarz. Życie prywatne słynnej trójki ciągle jest pod lupą dziennikarzy pism zachodnich. Stąd też dowiadujemy się o kolejnych romansach Barry’ego i nadużywaniu narkotyków przez braci.

Ostatnio dochodzą słuchy, że Robin — najspokojniejszy z rodzeństwa — nie jest taki znowu spokojny. Rozwiódł się z żoną, Molly, która za tę przyjemność zażądała 9 milionów dolarów, pozostawiając przy sobie dzieci: 11-letniego Spencera i 9-letnią Melissę. Robin mieszka w Miami Beach, gdzie ma prywatne studio nagrań i przyjaciółkę, 30-letnią Dwinę, z zawodu rysowniczkę, wcześniej — jego sekretarkę prasową.

Mimo że życie prywatne Robina nie układa się najlepiej, dobrze radzi sobie w życiu zawodowym. Powodzenie ostatniej płyty sprawiło, że rzucił się w wir pracy i przygotowuje kolejną. Może będzie to następny sukces, jak ostatni krążeł, nad którym pracę zaczął przed rokiem.

Holenderski zespół małałatów — „The Shorts” — zadziwił w tym roku show-bussines, i to nie tylko europejski. Płyta z piosenką „Com-ment ça va” („Jak leci”) zdecydowanie zdobyła sobie miano przeboju minionego lata. Piosenka o prostej melodii, rytmiczna i nieskomplikowana treściowo, jest jakby kontynuacją produkcji takich kapel, jak „Goombay Dance Band”, „Electronica’s” czy chociażby naszego „Happy Endu”. A kim są młodzi wykonawcy?

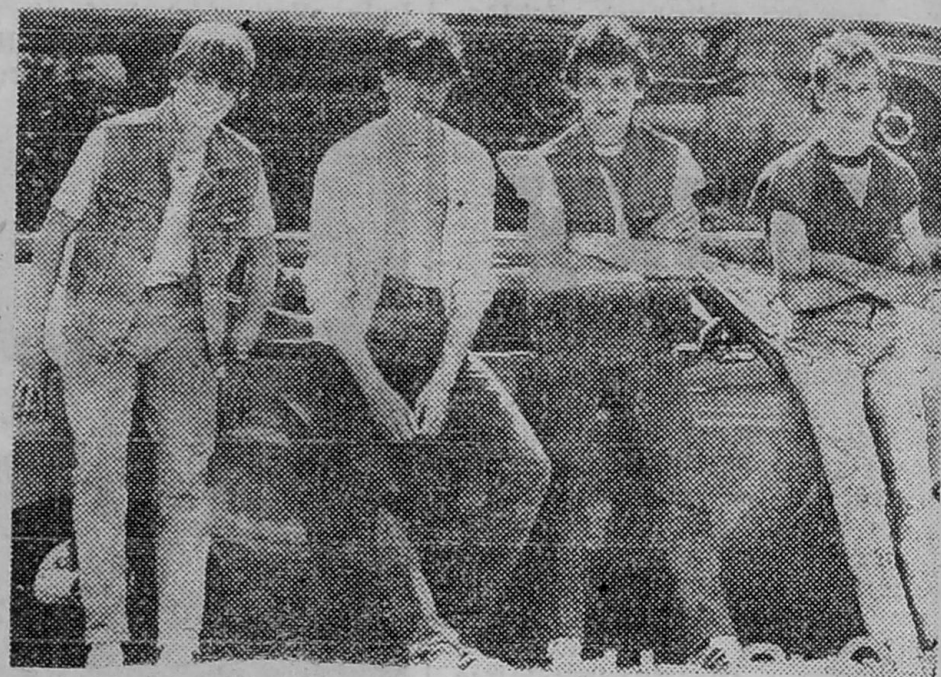
„Krótkcy” — wbrew nazwie grupy — nie należą do najniższych, lecz raczej do najmłodszych wykonaw-

po powrocie usłyszeli swoją piosenkę na lotnisku i informację, że jest to w Holandii, Francji i RFN przebój numer 1. Zarobione na tantiemach z piosenki pieniądze leżą na razie spokojnie na kontach rodziców.

A jak dziś „leci” młodym muzykom z kraju tulipanów? Najstarszy, Hans van Vondelen (ur. 30 VII 1965 r. w Delft) ma dwóch starszych braci, Nico i Tona. Lubi sport i muzykę, w zespole pełni rolę wokalisty, a najbardziej lubi piosenki zespołu „Queen”.

Wielbicielem tej grupy jest również Erik de Wildt, grający w „The

KRÓTKCY



ców muzyki rozrywkowej. Swoją działalność-zabawę rozpoczęli kilka lat temu i zdobyli w Holandii pewien rozgłos jako grupa spod znaku teen wave. Przebój, który przyniósł im rozgłos, skomponował ojciec ich młodego managera, Danny’ego — Edy de Heer. Melodyjka powstała ponoć w czasie wieczornego spaceru z psem. Ten ostatni nie mógł do końca skorzystać z przechadzki, bowiem pan Heer, po „wpadnięciu” melodii do głowy, czym prędzej wrócił do domu i zapisał swój pomysł na papierze nutowym. Utwór został nagrany, a młodzi muzycy wyjechali na koncerty za granicę.

Wielkie było ich zdziwienie, gdy

Shorts” na instrumentach klawiszowych. Urodził się 2 XI 1966 r. w Dordrechcie, gdzie uczęszczał do szkoły muzycznej. Jego dwie młodsze siostry, Heidi i Anité, wychowuje samotnie matka — Rla de Wildt.

Najwyższy z „Krótkich” — mierzący 180 centymetrów — Peter Weezenbeek (ur. 24 VI 1966 r. w Haarlem w Holandii); gra w kapeli na perkusji. Ma dwóch braci: Paula i Edwina.

Ulubieńcem dziewcząt jest czwarty członek zespołu, gitarzysta basowy „The Shorts”, urodzony 3 V 1966 r. w Leydzie — Hans Stokkermans. Jego pozamuzyczną pasją jest hodowla zwierząt.

Reprod. LESZEK CZURA

ra? Czy dlatego, aby ból uczynić nieznośniejszym? Czy aby zeń drwić?”
Wtem, jak meteor oślepiający, wpadł do duszy Luci błysk nadziei: „Bodzio chce zerwać małżeństwo, upoważniony przez ordynata”.

Myśl ta wydała się Luci jedynie motywującą postępowanie Bodzia. Nie śmiała wyjawiać jej głośno, tchu zabrakło piersiom dziewczyny. Bohdan, odgadnięty już, zmalował w pojęciu baronówny. Stał się nędznym pośrednikiem ordynata; ordynat — tchórzem, ukrywającym się za plecami kuzyna.

Obaj spodlali w wyobraźni Luci, a ponad nimi wykwitła delikatna plonka współczucia dla Brochwicza. On posadził chwilowo wszystkie uderzenia serca Luci, całą jej dobroć i uznanie. On był ofiarą spisku Mi-



chorowskich. Narzeczona zapragnęła być mu wierna. Szyderstwem chciała zasypać Bohdana. Dać mu odczuć swą pogardę. Śmiech pełził po nerwach, drażnił dziewczynę. Za chwilę wybuchnie okropny, zły i nieszczerzy.

Bodzio uprzedził go; ściskając Luci ręce rzekł głosem miękkim, ale stanowczo, jak gdyby stwierdzając fakt:

— Nie kochasz Brochwicza.
— Nie kocham! — odrzekła jak echo.
— Więc popełniasz... niegodziwość. I to z powodu zranionej ambicji; przez upór i znęcanie się nad sobą; rozmyślne, bezlitosne znęcanie się. Milczała cała drżąca. Sugestionował ją władzą niepojętą, niweczył jej wolę.

Bohdan mówił nieubłaganie:
— Z rozpaczy można się zabić, ale nie wychodzić za mąż. To nie zaobojstwo to tylko kalectwo na całe życie. Luciu, ty ordynata nie kochasz.

Wstrząsnęła się.
W jej głosie zabrzmiały gniew, zdumienie niesłychane nad zuchwałością Bohdana.

Okropny wir zapanował we wszystkich uczuciach Luci. Usłyszane słowa były dla niej obelgą, ranily ją pręgierzem barbarzyńskim. Ale w jestestwie swym dziewczyna odczuwała najmocniej zawód z powodu upadku jej domysłów o spisku. Ordynat nie mógł się ukrywać za Bodziem, skoro ten ośmiela się profanować jej uczucia dla Waldemara rzucając na nie wątpliwości.

„Jaki ma w tym cel? — pomyślała. — Co to wszystko znaczy? Czego

oni od niej chcą?”

Niepewność i lęk wewnętrzny odmalowały się na twarzy Luci. Chłód wystąpił z równą siłą. Popatrzała prosto w oczy Bohdana i rzekła bezdźwięcznie:

— Nie rozumiem ciebie! Czyś ty nieprzytomny, czy ja?

— Luciu, posłuchaj mnie...

— Powiedz, co twoje słowa znaczyły! — przerwała mu nerwowo.

— Moje słowa? Mówiły prawdę: ordynata nie kochałaś i nie kochasz.

Baronówna powstała z fotela.

— Dosyć! — przerwała. — Żegnam ciebie. Jesteś dziecinny... i śmieszny.

Pędem wyszła z pokoju.

Bohdan słyszał jej uśmiech nienaturalny, krztuszący się nienawiścią dla niego, drapieżny, a pełen żalu.

Jad, wszczepiony słowami Bodzia, wsiąkł do duszy Luci i zaczynał powoli działać.

XLVI

Lucia całą noc przemęczyła się rozterką duchową. Trapiła ją walka z porywami zagadnień wewnętrznych, z szeptem buntowniczym sumienia. Gwałt, zadany sercu, mścił się już w przededniu spełnionego faktu. Małżeństwo swe widziała jako rzecz konieczną, ale pragnienie zerwania go świtało w tajemnicy nawet przed tą cząstką duszy, z której się poczęło. Ogarnęła Lucię mętna abstrakcja i pytania, obłudne pytania: „Co robić? Jak pozbyć się ciasnych pęt, będących dotychczas tylko nieprzyjawnymi, dziś już nienawistnymi? Jeśli się zaś ich pozbędzie: gdzieś ratunek i jaki? Pozostać z dawnym ciężarem w duszy, ale już bez nowogo i stokroć cięższego. Brzemienia niedoli nie zwiększać, dźwigać nędzę moralną, ale bez gorzkich wyrzutów, bez grzechu samobójstwa. Bohdan — to duch opatrności, który jej podaje ręce, aby wynieść z odmetu. Nie odtrącać ich! Dobrowolnie usunąć zaporę, jak się ją dobrowolnie nasunęło. Zamknąć otwarty grób bez siebie. Ale czy można zabijać tamtego człowieka dla pobudek egoistycznych? Czy ta bezwzględność popelniona nad Brochwiczem nie byłaby większą od zadania kłamu uczuciom własnym? Czy uczciwość pozwala na wydzieranie szczęścia z serca, które kocha? Gdzież wreszcie jest uczciwość: czy w szczerej prawdzie, wypowiedzianej bez obłudy, czy we współczuciu dla czyjejś miłości?”

Lucia pragnęła rozcząstkować swe serce, aby ujrzeć zagadkę wyjaśnioną i prawą drogę do czynu.

Dusiła się w atmosferze zwątpień.

Przed Bodziem czuła lęk, ale go nie unikała. On był natarcywy. Rozmawiali z sobą całym godzinami. On ją przekonywał, ona się broniła. Jej stan dziwny, gorączkowy, niepokoił księżnę, zastanawiał Brochwicza i drażnił go. Knuło się w jego duszy podejrzenie mętne, że Bohdan jest początkiem jego epilogu.

Po paru dniach Lucia szukała rozmów z Bodziem. Jego szczerość i sąd bezwzględny napawały baronównę otuchą. Gniewał ją, męczył, ale przekonany każdym słowem. Nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale Bohdan czynił w niej wyłom wyraźny.

Przejrzała, że poświęcić siebie Brochwiczowi nie potrafi. Miała wrażenie, jakby wróg, czyhający na nią od dawna, stracił jej ślad, bo się już ukryła za nierozważną moc wahanía, które przeważało na jej stronę



Stoł sobie choineczka,
cała w różnych zabaweczkach,
Pełna jasnych złocieni,
świąteczkami się mieni.

Wiszą na niej jabłuszka,
a gdzieś tam i gruszką.
Jest tam także laleczka,
obok niej miga świeczka.

Choineczko wysoka!
Jesteś prawie w obłokach.
Wokół śpiew się niesie,
niby echo po lesie.

DANIEL MIODUSZEWSKI, kl. VIII
ZAMBRÓW

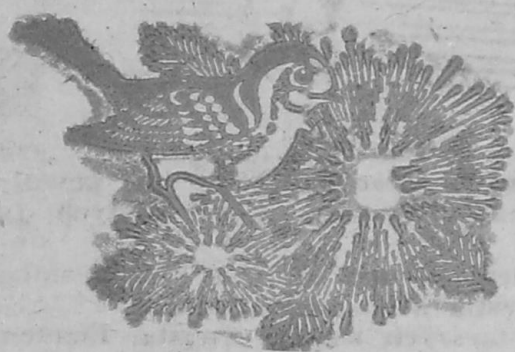
RÓŻA I SKOWRONEK

Na rozległej polanie rośla czerwona róża. Była samotna, bo daleko od niej stały wierzby. Pewnego razu przyfrunął do niej skowronek i pięknie śpiewał. Róża była zachwycona, a ptaszek przebywał u niej przez całe dziesięć dni. Jedenastego dnia usiadł na wierzbie. Zazdrosna o to piękne śpiewanie wierzba w mgnieniu oka uplotła ze swych gałęzi klatkę i w niej zamknęła skowronka.

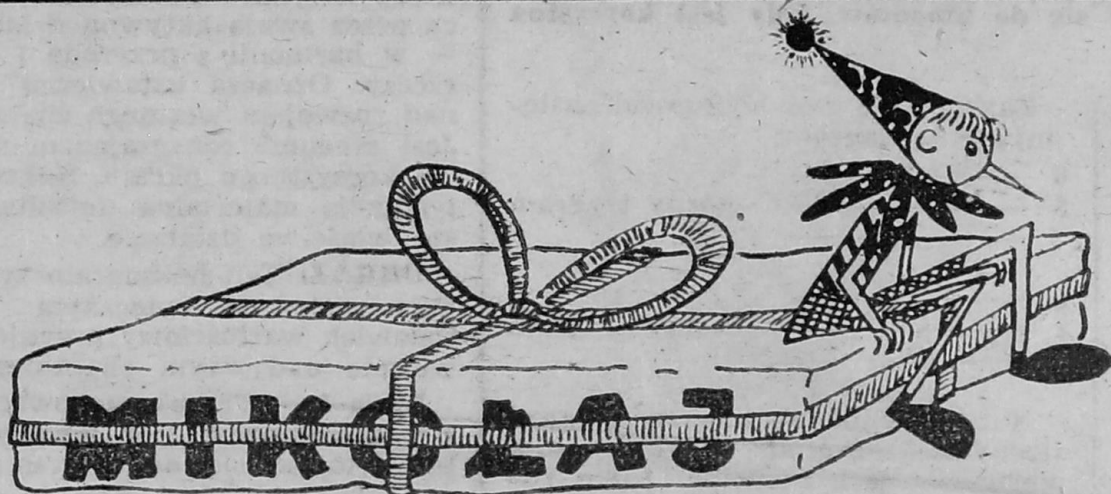
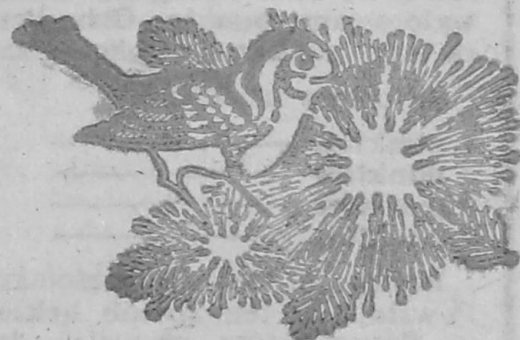
O nieszczęściu ptaszka róża dowiedziała się od wszędobylskiego wiatru. Zasmuciła się bardzo, bo nie mogła mu pomóc. Widząc to wiatr poprosił o pomoc szpaka.

Szpak od razu wziął się do roboty. Wierzba zaczęła groźnie szeleścić swymi gałązkami. Strącała z siebie szpaka, ale on wbił swoje pazury i uparcie rozbierał klatkę. Kiedy uwolnił skowronka, mały i zmęczony ptaszek szybko pofrunął do swojej róży, która od razu poweselała.

ANDRZEJ FILIPKOWSKI, kl. IV
GRABOWO

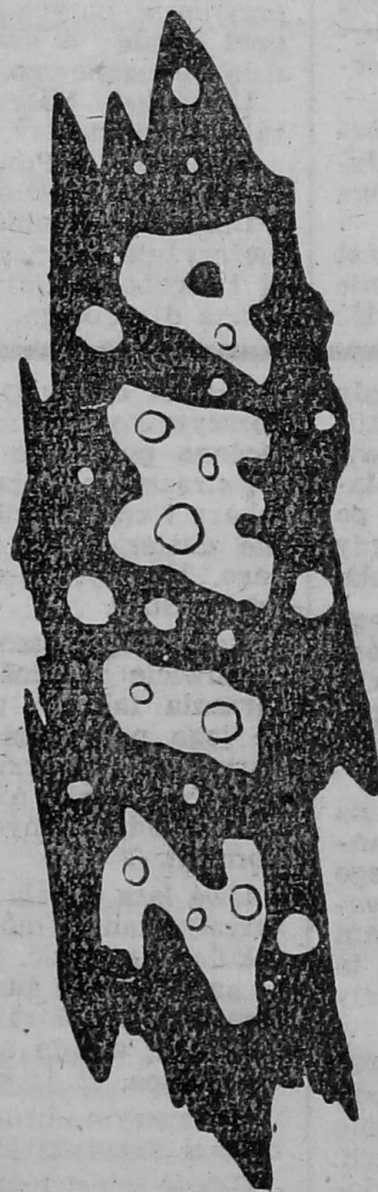


Przeskakując zawsze tę samą ilość gwiazd, w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, odczytaj rozwiązanie. Hasło składa się ze wszystkich sylab widocznych na rysunku, a zaczyna się od gwiazdy w ramce.



Idzie Mikołaj przez las i bór,
niesie prezentów cały wór.
Gwiazdka już jasno świeci,
Mikołaj spieszy do dzieci.

BEATA ZAŁUSKA, kl. V
JANCZEWO WIELKIE

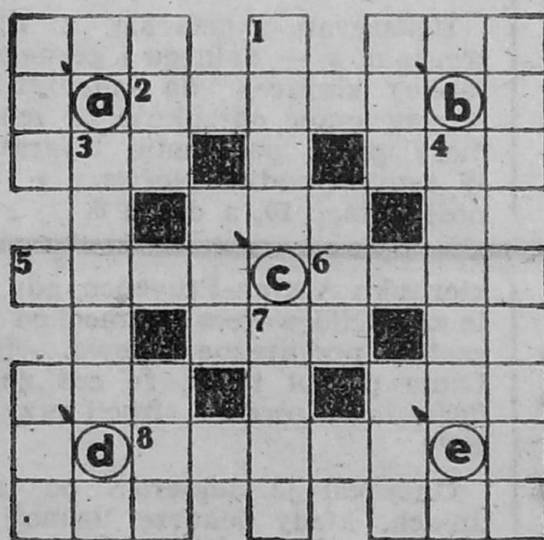


Wielki, gęsty śnieg sypie
ostry mróz w uszy szczyple.
Zima idzie polami,
przykrywa je płatkami.

Gdzieś daleko kracze wrona,
cisza jej krzykiem zmacona.
Chwieją się czapy śniegu
na ciemnych gałązkach dębu.

KRYSTYNA PRUSZKOWSKA,
kl. VII
ZAMBRÓW

WIROKRZYŻÓWKA



WIROWO (kierunek wpisu — zegarowy, początek wpisu wyrazów w polu oznaczonym kreską): A) tygodnik, w którym ukazują się „Kontakci”, B) piśmienny sprawdzian wiadomości, C) stolica naszego kraju, D) ten, kto zastępuje, E) oświetla jezdnię i chodnik.

POZIOMO: 2) chluba słonia, 5) cieknie z kranu, 6) potwór rodem z Krakowa, 8) szlak komunikacyjny, droga.

PIONOWO: 1) z niej wypieka się chleb, 3) produkuje mleko, 4) kuzynka kruk, 7) wigilijny solenizant. (E.J.)



Andrzej postanowił poszukać w Łomży Mikołaja krasnoludków. Moment spotkania podpatrzył obiektywem Wojtek Świąteczki. Zgadnijcie, gdzie?



blaga o Herodzie

Uchodził zawsze za potwora. Cztery wieki temu Calderon nazwał go „największym monstrum świata”, a niemiecki poeta — Sachs — „okrutnikiem”. Tę fatalną reputację Herod zawdzięcza „rzezi niewiniątek”, a winę za rozpowszechnienie tej blagi ponosi św. Mateusz.

Wszyscy nowsi historycy zgodnie twierdzą, że takiej rzezi nigdy nie było. Jest to jedna z wielu legend opowiadających o dzieciach, które miały zostać królami i cudem uniknąć śmierci z ręki podstępnej i okrutnej władcy. Herod nie mógł popełnić przypisywanego mu czynu, ponieważ w czasie narodzin Jezusa już go nie było na tym świecie.

Smutna sława przyśmiła osiągnięcia polityczne wielkiego meza stanu, nowoczesnego monarchy. Po zabiciu Cezara 25-letni Herod, podówczas zarządcą Galilei, zdołał sobie zaskarbić łaskę Oktawiana i Antoniusza. Uchodził za mocnego człowieka, zdolnego zabezpieczyć interesy Rzymu w zagrożonej przez Partów Palestynie. Po zwycięstwie nad Partami został mianowany królem.

Z właściwym sobie sprytem zromantyzował, że w rywalizacji między

Oktawianem i Antoniuszem górę wzięli Oktawian i opowiedział się po jego stronie. Od tej chwili pozycja Heroda stała się bardzo mocna: przystąpił do przeprowadzenia postępowych reform. Pod jego rządami gospodarka Palestyny przeżywała rozkwit, czego świadectwem są wspaniałe dzieła architektury (przed wszystkim — świątynia w Jerozolimie).

Jednakże konserwatyści żydowscy, którzy chcieli widzieć na tronie kogoś z rodziny Machabeuszy, nieustannie przeciwstawiali się Herodowi. Krytykowali wszystkie jego poczynania. Budował fortyfikacje? Aby mocniej uciskać lud. Rozbudował świątynię? Aby mieć pretekst do zniszczenia starej, która była jeszcze w całkiem dobrym stanie.

Żydzi nieustannie intrygowali przeciw Herodowi, a arcykapłan Hyrkan podjął — nieudaną próbę — próbę zamachu stanu. Herod w porę udaremnił spisek, przygotowany przez kilku z jego synów, nie bez udziału żony, która wywodziła się z rodu Machabeuszy.

Skąd ta wrogość wobec Heroda? Przede wszystkim stąd — z jest to opinia wielu znakomitych historyków — że Herod nie był Żydem.

chownych, zakładów dobroczynnych i misyjnych, a także szkół — w postaci odpowiednich miniaterek na planszy. Dopóki nie pojawi się określona w regulach ilość takich budowli, gra nie może zostać zakończona.

W „Zastugach” zastosowano szczególne połączenie współczesnego telewizyjnego quizu z tradycyjnym katechizmem: posunąć swego pionka na planszy ma prawo ten z graczy, który prawidłowo odpowie na jedno z zawartych w grze pytań, dotyczących spraw Kościoła i wiary.

Dodatkowy ruch uzyskuje ten zawodnik, który solennie przyrzeknie, że w ciągu tygodnia odmówi różaniec. Jakimi sposobami i kto obietnicę tę ma egzekwować, regulamin gry nie ustala.

miłość polityczna

lu był w pokoju. Spotykali się potajemnie w waszyngtońskim parku Rock Creek.

Roosevelt obmyślił pomysłów sposoby odwiedzania Lucy w rodzinnej posiadłości Rutherfordów. Tajni agenci czuwali, a dziennikarze zachodzili w głowę, gdzie mógł się prezydent zawiązać. Podczas tych wszystkich lat Eleonora nigdy się nie dowiedziała o trwającym romansie męża. Roosevelta osłaniał nie tylko jego personel, lecz również rodzina, włącznie z córką Anną.

Lucy została zaproszona do Warm Springs w kwietniu 1945 r., gdy Roosevelt pojechał na południe, by odzyskać siły. 12 kwietnia miał się odbyć wielki festyn; wówczas to po raz pierwszy prezydent umieścił nazwisko Lucy na liście oficjalnych gości, nie martwiąc się już o uczucia żony. Był to jednak ostatni dzień życia prezydenta.

Pewien rabin opowiadał swoim uczniom o cudach: — Biedna matka porzuciła w lesie dziecko, bo nie miała pieniędzy na jego wyżywienie. Dziecko leżało i płakało. Płacz usłyszał drwal i wziął niemowlę z sobą. Przytulił, aby je uciszyć. Ale dziecko było głodne i płakało nadal. A drwal był bardzo

więc do niego: — Wyglądasz tak, jakby ci się ta historia nie podobala.

— Niezupełnie. Ja tylko nie bardzo rozumiem, dlaczego Pan Bóg uczynił cud niezgodny z prawami natury. Przecież mógł, na przykład, zrzucić z nieba worek z pieniędzmi. Drwal by go znalazł, przy-

CUD

biedny i nie miał pieniędzy, by mu kupić mleka. I Pan Bóg uczynił cud, jaki się nie zdarzył od stworzenia świata: sprawił, że drwalowi urosła kobieca pierś pełna mleka, żeby mógł nakarmić dziecko.

Kiedy skończył opowiadanie, na twarzach uczniów pojawił się zachwyt. Tylko jeden miał niezadowoloną minę. Rabin zwrócił się

jął mamkę i wszystko byłoby w porządku: dziecko miałoby opiekę, a prawa natury nie zostałyby naruszone.

Rabin uśmiechnął się: — Mój drogi, jesteś przecież człowiekiem myślącym. Zastanów się: jeżeli Pan Bóg mógł dać drwalowi pierś kobiecą, to po co miałby wydawać tyle gotówki?



INDYK NA ŚWIĘTA

Sprawionego indyka natrzeć solą z zewnątrz i wewnątrz. Wątróbkę zemielić wraz z namoczonymi w mleku sucharkami (5 dag), 5 dag rodzynków opłukać, migdały (5 dag) sparzyć wrzącą wodą, obrać ze skórek i pokroić w cienkie paski. Żółtka z trzech jaj utrzeć z 2 łyżkami cukru i taką ilością masła. Dodać wątróbkę z sucharkami, utrzeć na jednolitą masę. Przyprawić solą, gałką muszkatołową i goździkami; dodać rodzynki i migdały, dokład-

nie wymieszać, delikatnie połączyć z pianą z białek.

Przygotowane nadzienie nałożyć do podgardla i wnętrza indyka, po czym zaszyć je. Ułożyć indyka w naczyniu do pieczenia, obłożyć tłuszczem, wlać szklankę wody i piec w piekarniku 2—3 godz., polewając często sosem. Jeżeli indyk jest stary i ma twarde mięso, należy go przed pieczeniem odgotować przez ok. 30 min. w rondlu z wrzącym wywarem z włoszczyzny.



ŚWIĘTA GRA

Jedną z najbardziej zaskakujących gier, która próbuje nadać życie, są „Zastugi”. Funkcje pionków spełniają figurki Jezusa, Matki Boskiej, Świętego Józefa i aniołów. Na wstępie każdy z graczy otrzymuje wydrukowane świadectwa chrztu oraz pewną ilość „zastug” (dobrych uczynków, cnot). Na planszy, gustownie ozdobionej wizerunkami klęczących aniołów, zatopionych w modlitwie, poszczególne pola noszą nazwy takie, jak „pokuta”, „misja w pogańskim kraju” itp.

Grający w „Zastugi” gromadzą dobre uczynki i cnoty przez wznoszenie kościołów, seminariów du-

Po Jalcie Franklin Delano Roosevelt gwałtownie opadł na łożach. Jego jedyną pociechą była wiotka i pełna wdzięku Lucy Rutherford, wówczas 52-letnia kobieta, w której był zakochany od czasu I wojny światowej, kiedy wykonywała obowiązki sekretarki jego żony, Eleonory.

W roku 1918 Eleonora znalazła pakiet naperfumowanych listów od Lucy. Wówczas to Roosevelt obiecał jej małżeństwo z kochanką. Eleonora zgodziła się zostać z nim pod warunkiem, że nigdy już nie będzie dzielić z nim łoża.

Ale prezydent nigdy nie zerwał całkowicie swego związku z Lucy; nawet wówczas, gdy w 1920 r. poślubił bogatego Winthropa Rutherforda, postać z wielkiego świata Manhattanu. Ukryta w prywatnym samochodzie Secret Service — uczestniczyła we wszystkich (czterech) uroczystościach wprowadzenia Roosevelta na urząd prezydenta. Ciągłe do niej telefonował, przechodząc na francuski, jeśli ktoś z jego persone-

21

KONTAKTY

25—31

XII 1983

stragan świąteczny



WIEŚCI GRODZKIE



▲ Moda rozpoczęcia jak największej ilości inwestycji oczarowała wielu. Zwolennicy jej znajdowali się nie tylko w centrach, ale i w niewielkich organizacjach gospodarczych. Teraz, kiedy o fundusze, materiały, fachowców coraz trudniej, nawet ci najmniejsi przeżywają te same zmartwienia, co budowniczo- wie zakładów w Ursusie, Jelczu — by wymienić najbardziej znane.

Nowogrodzka Gminna Spółdzielnia, która zaopatruje w artykuły spożywcze i przemysłowe mieszkań- ców miasta i gminy Nowogród oraz Zbójnej i Miastkowa, prowadzi kilka tzw. zadań inwestycyjnych. Trwa adaptacja budynków po piekarni na fabryczkę cukierków. Naj- później w marcu produkować się będzie tutaj na dobę pół tony ły- sów, toffi, krówek. W tej chwili trwa wykańczanie pomieszczeń produkcyjnych, zgromadzone już prawie wszystkie potrzebne maszy- ny. W zakładzie zatrudnionych zo- stanie około 50 osób, w większości

NOWOGRÓD

kobiet. Tytu pracowników można by bez większego problemu znaleźć w Nowogrodzie, niewielu jest jed- nak takich, którzy nie podjęli do- tychczas pracy w oczekiwaniu na otwarcie fabryki cukierków. Pra- cują w łomżyńskich zakładach pracy, wielu, jak się okazało, w „Narwi”, która też cierpi na braki kadrowe i niechętnie zgodzi się na zwolnienie kilkunastu nawet osób. Oprócz pracowników, których można będzie przyuczyć w kilka tygodni, zatrudnić trzeba fachowców z kil- kuletnim stażem w branży. Ci sta- wiają warunek — mieszkanie.

Prócz tej największej inwestycji spółdzielnia rozpoczęła budowę kil- ku sklepów. Niektóre z nich (np. w Dębikach i Gawrychach) wznoszone są przy pomocy okolicznych mieszk- ańców. W Dębikach od kilku mie- sięcy niszczy żelazna konstrukcja pawilonu, zaś w Gawrychach spół- dzielnia powinna jedynie przysłać fachowców do położenia wewnątrz- nych tynków. Ale skąd ich wziąć, jeśli zaangażowani są w zakładzie cukierniczym? Na przekazanie prac innej firmie również nie można so- bie pozwolić — brak pieniędzy.



▲ Miasto — w opinii jego miesz- kańców — nie ma szczęścia. Buduje się niewiele, a to, co już rozpoczęto, rodzi się w bó- lach. Za przykład służyć może blok Spółdzielni Miesz- kaniowej. Od kilku lat straszy na- gimi murami, krzywymi ścianami.

Przygotowywana jest ponoć eksper- tyza, która ujawni, czy budynek nie zawali się, kiedy wprowadza się do niego lokatorzy. Są także inwes- tycje, do których przystawiano się od wielu lat i dotychczas nie roz- poczęto. Przedszkole miejskie mieści się w starym, drewnianym bu- dynku. Co miesiąc za wynajęcie trzeba płacić właścicielowi 5 tys. złotych czynszu. W budynku nie ma wody bieżącej. W niewielkiej kuch- ni-kilce stoi kuchnia gazowa, trzy lodówki, stół. Tu przygotowywano do niedawna drugie śniadanie, o- biad i podwieczorek dla 28 dzieci. Od kilku dni do przedszkola przy- chodzi ich o połowę mniej. Te, które przychodzą, nie jedzą już trzech posiłków dziennie. Muszą wysta- rzyć kanapki przyniesione z domu i parzona na miejscu herbata. Z powodu braku wody bieżącej, ka- nalizacji, ubikacji, zbyt bliskiej od- ległości śmietnika od budynku

JEDWABNE

Sanepid zakazał przygotowywania posiłków. Decyzja, zapewne długo odkładana i dość łagodna, w końcu zapadła. Inspektorzy polecieli rów- nież zainstalowanie wentylacji, jesz- cze jednej lodówki, ustawienie ko- lejnego stołu. Jest publiczną tajem- nicą, że nie od wykonania tych poleceń zależy uruchomienie kuch- ni. 16 grudnia komisja, złożona z przedstawicieli Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Sanepidu, zde- cyduje o uruchomieniu kuchni.

Istotna jest decyzja o rozpoczęciu budowy nowego przedszkola. Wresz- cie zapadła! 13 grudnia przedsta- wiciele miasta zaplanowali wyjazd do Ciechanowca, aby zorientować się w możliwościach zakupu elementów. Ich koszty pokryje Urząd Miasta i Gminy, fundamente natomiast wykonają rodzice w czynnie społecz- nym. Trudno przewidzieć efekty tych starań, ale uruchomienie przedszkola przewiduje się za trzy lata. Nie sposób oprzeć się pytaniu: dlaczego z budową zwlekano tyle lat? Czy dopiero decyzja o zamknię- ciu kuchni, choć do zamknięcia kwalifikuje się całe przedszkole, poruszyła sumienia? Podobno w Jedwabnem są ludzie, którzy znają na te pytania odpowiedź, ale nie chcą jej udzielić.

KOLNO

▲ Minęły czasy, kiedy przed świę- tami można było poczynić extra- zakupy: eleganckie bluzki, futra, buty, artykuły gospodarstwa domo- wego. Teraz radość sprawić może zakup butów gumowych, kompletu żarówek, szklanek. Prawdą jest, że gdyby nie zabieg handlowców, za- opatrzenie byłoby jeszcze gorsze. Owocem dobrych kontaktów z pro- duktami w Krakowie były do- stawy dzianin w trzecim kwartale (o wartości 2 mln złotych). Fakt ten matki kilkuletnich dzieci tylko w połowie satysfakcjonował. Za swe- terek dla dwulatka trzeba płacić do 1000 złotych. Wiele pań zaopatrzyło się ostatnio w rajstopy importowa- ne z NRD. Dziennie sprzedawano



numeracji. Przydałyby się o tym dodatkowe informacje w sklepach. Z powodzeniem handlowano butami gumowymi, mimo że producent do- starczył je jako pozagatunkowe. Bez kłopotu kupić można jedynie świetlówki i żarówki z małym gwintem. Brak, niestety, pociesza- jących wieści o poprawie zaopatrze- nia w tej dziedzinie. Jedynym rozwiązaniem będzie więc chyba dopasowanie żyrandoli i kinkietów do oferty rynku.

ich nawet do 1000 par. Mimo że na półkach butów nie brakuje, z dopasowa- niem ich do nogi są kłopoty. Praw- dopodobnie spo- wodowane wpro- wadzeniem nowej

GRAJEW

▲ Miłośnicy Grajewa nigdy nie pogodziliby się z decyzją — gdyby taka zapadła — o wyburzeniu sta- rej części miasta i zbudowaniu tam nowych bloków. Ale z takiej de- cyzji zadowolonych byłoby wielu, którym przyszło tu mieszkać. Prze- ciekające dachy, zmuszałe mury, zbutwiałe okna. W takich warun- kach trudno zachwycać się ich histo- ryczną wartością.

Koniec roku to okazja do podsu- mowania przebiegu remontów. Ze wstępnych wylczeń wynika, że z zaplanowanych na remonty general- ne w PGKiM na ten rok 13 mln złotych wykorzystano prawie całą sumę. Objęto nimi 11 domów. W związku z przekazaniem budynku przy ul. Wojska Polskiego 1 na potrzeby WPHW, zaoszczędzono 5,5 mln złotych na inne obiekty. W tym roku remontowano budynek przy ulicy Wojska Polskiego w o- śledku im. Wł. Broniewskiego i przy Kolejowej. Nie ma chyba wątpli- wości, że są one w o wiele lep- szym stanie niż te przy placu 1



Maja i przyleg- lych doń ulicach. Tam właśnie wa- runki mieszkani- we najszybciej wymagają popra- wy. Niektóre z tych domów są za- bytkowe. Ale ich stan nie przeko- nuje o specjalnej trosce konserwa- tora zabytków. Obowiązujące prze- pisy nie pozwalają przeprowadzać remontów generalnych, jeżeli koszt przekroczy 70 proc. wartości budy- nku. Paradoks: w budynku wymaga- jącym remontu nie można go prze- prowadzić. Podpiera się więc ścia- ny, lata tynki. Lokatorzy są roz- żaleni, gdyż poprawia się warunki mieszkaniowe tym, którzy mieszka- ją nieźle, a im pomaga niewiele. Czas chyba najwyższy, aby zająć się budownictwem komunalnym, ustalić konkretny plan wyburzania nie nadających się do zamieszkania ruder. Natomiast zabytki też nie muszą kojarzyć się ze zgrzybiałymi murami, cuchnącymi podwórkami. Pora uświadomić sobie, że Grajewo ma też swoją starówkę.



STAWISKI

Do wykonania pozostała instalacja centralnego ogrzewania. Zakończe- nie planowane jest w końcu pierw- szego półrocza 1984 r. Tam też prze- niesiona zostanie poczta z obecnych pomieszczeń, przeznaczonych na in- stalację automatycznej centrali te- lefonicznej. Nawet teraz, kiedy dzia- lają trzy stare centrale, na niektó- rych ulicach są jeszcze wolne nu- mery. Rzadki to wypadek, kiedy bez wieloletniego oczekiwania moż- na otrzymać telefon. W swej pra- wie 150-letniej historii stawiskow- ska poczta rzadko przeżywała dra- matyczne chwile. Jedynie 21 stycz- nia 1946 roku zbrojny oddział — jak zanotowano w pocztowej kro- nice — dokonał napadu na kasę pocztową, z której zrabował 4500 złotych.

z przeznaczeniem na sale szkolne. W ten sposób można będzie uzyskać 7 klas lekcyjnych. Budowlani z Oddziału Budo- wano - Monta-żowego zobowiązali się oddać budy- nek do użytku w końcu sierpnia przyszłego roku. Jeśli dotrzymają słowa, zajęcia można by koń- czyć tuż po godzinie 15.00. A gdyby nie: uczniowie niektórych klas będą opuszczać szkołę po dwudziestej. Szkole potrzebna jest jak najszyb- ciej pomoc. I nie może się ona ograniczać do rejestrowania potrzeb, jak czyniła to różnorodne komisje z Łomży i Warszawy.



▲ Chociaż do okragłej rocznicy jeszcze daleko, już teraz informuje- my: w 1987 roku stawiskowskiej poczcie stuknie o- kragła rocznica — 150-lecie istnienia. W 1837 roku wła- ściel majątku w Stawiskach, Stanisław Kisielewski, przekazał bu- dynek w wieczystą dzierżawę na potrzeby poczty. I od tego czasu do chwili obecnej jej służy. Niewiele jednak brakowało, by przestał. Prze- gnęła więźba dachowa w głównym budynku groziła zawaleniem. W grudniu ub.r. rozpoczął się remont. Wykonawcą była początkowo kolneń- ska grupa remontowo-budowlana z Zakładu Gospodarczego. Od maja wykonawstwa podjęli się budowlani z Wojewódzkiego Urzędu Poczty.

WYSOKIE MAZOWIECKIE

▲ Zaniedbania w inwestycjach coraz bardziej komplikują życie szkolne. W Szkole nr 1 806 dzieci uczy się na trzy zmiany. Grupa sześciolatków kończy zajęcia o sie- dmiastej, trzyletni, zajęcia w starszych klasach trwają do osiem- nastej, a polekcyjne do dwudziestej. W przyszłym roku liczba uczniów zwiększy się o kolejne oddziały, co oznacza dalsze przedłużenie czasu zajęć. Jeszcze w 1976 roku rozpo- częto budowę bloku żywieniowego. Trwają prace nad dokumentacją, która przewiduje dobudowanie jesz- cze jednego piętra (brakuje, nie- stety, nowego wyrysów geodezyjnego)



SZCZUCZYN

były przypadkiem, ogień umyślnie wzniecano. Milicja aresztowała 5 podpalaczy: trzech z nich to czyn- ni członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej. Kiedy wzywano straż do pożaru, podpalacze brali udział w ich gaszeniu. Ujęto też osobę, która płaciła podpalaczom za rozniecanie ognia.

ZAMBRÓW

▲ Zambrowską piekarnię, cho- ciaż nie jest stara, trudno posadzać o nowoczesność. Przez 15 lat wy- służyły się maszyny, należałoby je wymienić. Często zdarzają się awarie. Na dwa tygodnie przed świętami spalił się silnik automatu formującego bułki.

Piekarnia na siebie zarabia, pla- nowany zysk w br. sięgnie prawdo- podobnie 7 milionów złotych. Wąt- pliwie jednak, aby obciążona kredy- tami za nową maszynę zambrow- ska PSS „Społem” zdecydowała się na wymianę maszyn w piekarni. 23 piekarzy będzie więc musiało niejednokrotnie zastępować psujące się maszyny. Codziennie produkuje



się tu kilkanaście ton chleba i pie- czywa drobnego. Jeśli wszystko pracuje bezawa- ryjnie, potrzeby miasta są zaspoko- jone. W przy- padkach awarii trzeba ratować się dowozem z innych miejscowości. Przed świętami, jak co roku, na- leży spodziewać się zwiększonego popytu. Wiadomo już, że trzeba przygotować co najmniej 30 ton chleba. Wypiek świątecznych bo- chenków zacznie się już w przed- święteczną niedzielę, nie wszystkim uda się więc kupić ciepły chleb. Prawdopodobnie nie uniknie się też kolejek, ale o to powinni martwić się handlowcy.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

ponieważ planuje rozbudowę swego gospodarstwa.

● Zakład Usług Wodnych zdziwił propozycją odbierania robót konserwacyjnych akurat wtedy, kiedy spadł śnieg. Kto miał wystąpić w roli bałwana?

● **ŚNIADOWO.** Po otwarciu (nastąpiło miesiąc temu) wyremontowanego budynku straży pożarnej z piękną salą widowiskową szykuje się wreszcie wielka atrakcja — bal sylwestrowy. Strażacy zastanawiają się teraz, czy naruszą ustawę antyalkoholową, jeśli zezwoli na spożywanie alkoholu w budynku, który jest przecież ich zakładem pracy.

● **Epidemia!** Zachorowali równocześnie: pani naczelnik gminy, główny księgowy i dwóch pracowników.

z marginesu

Obywatelka D. poprosiła milicję, by sprawdziła, gdzie spłynął jej ogromny (50 tys. zł), złoty pierścionek, który pozostawiła na półtoce godzinę na zlewie we własnej łazience.

● **Chuligan,** który zaatakował Barbarę N. w pobliżu grajewskiego dworca i wyrwał jej siatkę, znalazł tu niebogaty, ale przydatny dla amatora „mokrej roboty”: męską parasolkę, nóż i rękawiczki gumowe.

● W Zambrowie skradziono ostatnio 10 kur z kurnika przy Białostockiej i spodnie typu „The bartoginot” z hotelu robotniczego.

● Łukomczuchy wzięły się do cukierni hotelu „Polonez”. Przystępstwo zostało z miejsca ukarane — zamiast kremowych tortów i czekoladek złodziejaskowie znaleźli puszkę marmolady i cztery mrożone kurczaki.

Dziela spustoszenia Urzędu dopełnili ci, którzy udali się na narady i szkolenia.

● **Koziki się kłócą;** właściciel budynku wynajęły pomieszczenie na sklep, gdyby została zatrudniona w nim jego żona, na co nie godzą się mieszkańcy, którzy mają inną kandydatkę, ale nie dysponują pomieszczeniem.

● **Pracownik Oddziału Szybkich Obsług w łomżyńskim POM-ie** wystawił dokument informujący o zmianie numeru silnika w remontowanym ciągniku, ale zapomniał się podpisać i określić datę.

● **Brakowało chętnych do udziału w pracy komisji dopuszczającej do ruchu drogowego woźniców, rowerzystów i motorowerzystów.** Ochotnicy ruszyli ławą, kiedy do komisji zgłosiła się pani sekretarz. Co robi dyskretny urok władzy!

ladek złodziejaskowie znaleźli puszkę marmolady i cztery mrożone kurczaki.

● **Za napad i ograbienie przechodniów z zegarków i pieniędzy Prokuratura Rejonowa w Łomży zatrzymała Zenona K., mechanika z piskiego „Budopolu”.** No i cóż, robota na dwie zmiany przynosi uprawdzenie niezdolności, ale bywa, że wykańcza człowieka.

● **Pewna łomżyńska złożyła wniosek o ściganie swego męża,** którego podejrzewa o kradzież obrączki i kuchenki gazowej. Interesujące, czy chodzi jej bardziej o męża czy o kuchenkę?

● **Stanisław K., 44-letni rolnik,** dotychczas nie karany, podpadł milicji za to, że w październiku zabił dwadzieścia owiec, które kupił dwa miesiące wcześniej w POZH, by je chować. Gargantua, spekulant czy nerwus?

Cenne nagrody dla uczestników nowego, wielkiego plebiscytu:

SPORTOWE PASJE I TALENTY '83

Czytelnicy „Kontaktów” wybiorą:

▲ sportowy talent roku,

▲ najpopularniejszego przyjaciela sportu w województwie łomżyńskim.

Szczegóły wkrótce.

TELEWIZJA W ŚWIĘTA

SOBOTA 24 grudnia

PROGRAM I
9.00. Sobótka. 10.30. Historia dramatu polskiego: G. Zapolska — „Zabusia”. 11.45. Koledy polskie. 12.15. „W świecie ciszy”. 12.45. „Przygody Ali-Baby i 40 rozbójników” — film radziecki. 15.00. DTV. 15.15. „A witajcie przyjaciele”. 15.45. Galeria 36 milionów. 16.15. „Król puszczy” — film przyrodniczy. 17.00. Program dokumentalny. 17.30. Piosenki Moniuszki. 18.00. Moja Wigilia. 18.30. Koledy. 19.00. Wieczorynka. 19.30. DTV. 20.00. „Opowieść wigilijna” K. Dickensa. 22.00. „Czesne istnienie” — spotkanie z T. Holtem. 22.30. Walce Chopina w Żelazowej Woli. 22.50. Koledy z różnych stron.

PROGRAM II
10.30. Sobota w Dwójce. 10.45. „Błękitny ptak” — film dla dzieci prod. francuskiej. 12.15. Kalendarz filmowy Kino-Oko. 13.15. Recital Małgorzaty Klepury. 14.00. „Krwawa wigilia” — reportaż filmowy. 14.20. Partyzanckie koledy. 15.00. „Prawa ruchu” (ostatni odcinek serialu). 16.05. Wigilijni goście. 16.30. „Powrót” — reportaż filmowy. 17.00. „Powstawanie człowieka” — angielski serial dokumentalny. 17.50. Piosenki pod choinkę. 18.30. Teatr Poezji: „Wit Stwosze” — poemat K. I. Gałczyńskiego. 19.00. Pytania do ducha. 19.30. DTV. 20.00. Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny im. K. Szymanowskiego. 21.00. „Tajemnice starego Krakowa”. 21.50. „Fortunata i Jacinta” — serial hiszpański. 22.50. Pytania do ducha.

NIEDZIELA 25 grudnia
PROGRAM I
9.00. „Przygody Tomka Sawyer’a” — film radziecki. 10.40. Dzieje zamków. 11.40. W starym kinie „Pan Twardowski” — polski film archiwalny. 13.10. Teatr dla dzieci: „Opowieści króla Wysp Hebanowych”. 14.15. Siedem Anten. 15.15. Losowanie Dużego Lotka. 15.30. Telewizyjny Koncert Zyczeń. 16.15. „Szczury Paryża” — francuski film fabularny. 17.50. „S.O.S. z gór i lasów” — film przyrodniczy. 18.25. Kolobrzskie bałady. 19.00. Wieczorynka. 19.30. DTV. 20.00. „Bliśko, coraz bliżej” (ostatni odcinek). 21.25. Co jest grane? — program satyryczny. 22.10. „Triumfator” — reportaż o Iwo Pogorelu. 22.50. Program rozrywkowy. 23.10. „Francuski łącznik” — film sensacyjny USA.

PROGRAM II
14.00. „Bliśko, coraz bliżej” — film TP. 10.00. Święta w Dwójce — Czym żyje kraj? 10.10. Koncert Dwójki. 10.40. „5-10-15” — zespół Dom przedstawia. 12.30. Kalendarz filmowy Kino-Oko. 13.20. „Kto to jest, to ja jestem” — film dokumentalny. 14.00. „Molier” — serial francuski. 15.00. Bogusław Kaczyński zaprasza. 15.15. Wielka gra — teleturniej. 16.00. Stefan Stuligrosz i „Słowiaki” śpiewają koledy. 16.15. Wywiady. 17.00. Dzień. 16.45. Parada gwiazd. 17.20. Świąteczny gość — W. Wermińska. 17.40. Ignacy Paderewski gra Poloneza As-dur Chopina. 17.50. Kino Dwójki. 18.50. Świąteczni goście — Krystyna i Wiesław Ochmanowie. 19.10. Maria Callas — primadonna stulecia. 19.30. DTV. 20.00. Świąteczni goście — Irena i Janusz Szewiński. 20.40. „Białe święta” — Gang Marcela i Urszula Sipińska śpiewają koledy. 21.10. Świąteczny gość — Mieczysław Fogel. 21.25. Antoni Dworzak — Serenada. 21.40. „Najdzielsza wojna nowoczesnej Europy” (odc. ostatni). 23.10. „Narodziny gwiazdy” program muzyczny.

PONIEDZIAŁEK 26 grudnia
PROGRAM I
7.45. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.15. Tydzień. 9.00. „Tajemnicza wyspa” — francuski film fabularny. 10.50. Nasze typy w Plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. 11.20. Podróż sentymentalna — Łomża. 12.00. Fantastyka. 12.35. Teatr Młodego Widza. 13.00. „Brzydkie kaczątko” — czyli niewiedza cnota. 13.55. The Rutles — film muzyczny. 14.35. „Marian Bogusz”. 15.05. „Rio Lobo” — western USA. 16.40. Kazimierz Dolny zima. 16.55. Zbigniew Boniek w Studio Sport. 17.15. „Pierwsze zamałpójście” — radziecki film fabularny. 19.00. Wieczorynka. 19.30. DTV. 20.00. „Miłość ci wszystko wybaczy” — polski film fabularny. 21.55. Piękno i wdzięk — popisy gimnastyczek i łyżwiarzy figurowych. 22.40. Gwiazdy San Remo.

PROGRAM II
10.30. Święta w Dwójce. 10.40. Przeboje filmowe. 10.55. Mówią ludzie filmu. 11.00. Lek-tury naszych dziadków: „Robinson Crusoe” — angielski film fabularny. 12.40. Historia muzyki rozrywkowej. 13.30. Mówią ludzie filmu. 13.35. „Książętko” — polski film archiwalny. 14.55. Kalendarz filmowy Kino-Oko. 15.30. Mówią ludzie filmu. 15.35. „Życie prywatne borsuków” — angielski film dokumentalny. 16.00. Mówią ludzie filmu. 16.05. „Klejonot w lotosie” — film dla dzieci. 17.05. Światowe rekordy roku. 17.40. Mówią ludzie filmu. 17.45. Szlagiery i przeboje kina — program rozrywkowy. 18.15. Śląski western. 18.40. „Gorąca linia”. 19.00. Gwiazdy sportu, gwiazdy kina. 19.30. DTV. 20.00. Muzyka poważna — recital piosenki polskich. 20.30. Gra Orkiestra Kameralna Wojciecha Rajskiego. 20.40. Telewizyjny Koncert Zyczeń — PZU swoim klientom i pracownikom. 21.25. Mówią ludzie filmu. 21.55. „Os Vander-derintantes” — hiszpański film fabularny.

imprezy kulturalne

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „Ania z Zielonego Wzgórza” — spektakl Teatru Popularnego z Warszawy przeznaczony dla młodzieży szkolnej — 4 i 5 I, godz. 10.00; poranek bajkowy dla dzieci — 24—31 XII, godz. 12.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: dyskoteka dla młodzieży — 27 XII, godz. 19.00; „Zima puka do twoich drzwi” — impreza rozrywkowa w plenerze dla dzieci — 28 XII, godz. 14.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: dyskoteka dla młodzieży — 26 XII, godz. 18.00; bal sylwestrowy — 31 XII, godz. 20.00; choinka noworoczna dla dzieci 3 I, godz. 16.00.

Zakładowy Dom Kultury „Relaks” w Zambrowie: turniej brydża sportowego — 23 XII, godz. 18.00; bal sylwestrowy — 31 XII, godz. 20.00; zajęcia ogniska muzycznego — 22, 29 XII i 2, 5 I, godz. 8.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: spotkanie w klubie brydżowo-szachowym — 23 XII, godz. 16.30; „Radosć” — spotkanie w Klubie Seniora — 28 XII, godz. 17.00; wieczór bajek dla dzieci — 3 I, godz. 16.00; dyskoteka noworoczna dla młodzieży — 4 I, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Stawiskach: dyskoteka świąteczna dla młodzieży — 26 XII, godz. 18.00; dyskoteka sylwestrowa — 31 XII, godz. 18.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Grabowie: wieczorek taneczny — 25 XII, godz. 18.00; zabawa taneczna — 26 XII, godz. 18.00; wieczór sylwestrowy — 31 XII, godz. 18.30.

Gminny Ośrodek Kultury w Małym Płocku: wieczór sylwestrowy — 31 XII, godz. 18.00.

Klub Prasy i Książki w Rogienicach Wielkich, Korzenistym, Kątach i Świłtici Dziecka we Włodkach: imprezy sylwestrowe — 31 XII, godz. 19.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: dyskoteka świąteczna — 26 XII, godz. 18.00; bal sylwestrowy — 31 XII, godz. 18.00.

wystawy

Biuro Wystaw Artystycznych w Łomży, ul. Armii Czerwonej 19 (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni po-święconych — w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): pokonkursowa na najlepszy obraz, grafikę, rzeźbę roku 1983.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „30-lecie działalności Domu Kultury w Łomży” — fotograficzna; „Polska praca — chęć i potrzeba” — prace uczniów Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie; „Opowieści ceramiczne” — wystawa Re-giny Bułatowicz-Ziemby.

Klub-Galeria w Łomży, pl. Zeglickiego (czynny codziennie w godz. 12.00—18.00): „Współczesne malarstwo Indone-zji” ze zbiorów Andrzeja Wawrzyniaka z Muzeum Azji i Pacyfiku w Warsza-wie.

Klub „Stale Zajęcie”, ul. Wojska Pol-skiego 1 (czynny codziennie w godz. 9.00—20.00, w poniedziałki w godz. 8.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 14.00—20.00): malarstwo Marii Sem-mler (w klubie „Malina” na Górze Za-wadzkiej); „Nowe zakupy MDK” — DST w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne w

środki i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty — w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00): burszty-ny z dorzecza Narwi środkowej: „Wśród pamiątek po prowilozach farmacji” — czasowa.

Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu (czynne codziennie — oprócz poniedział-ków i dni poświęconych — w godz. 9.00—16.00): monograficzna Krzysztofa Kluka, historia uprawy ziemi, mecha-nizacja rolnictwa, transport wiejski, tkac-two ludowe, rybołówstwo słodkowodne, pszczelarstwo; Skansen Mazowiecko-Pod-laski; Muzeum Weterynarii; „Firmy pro-dukujące leki weterynaryjne i ich dzia-łalność” (czasowa).

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kol-nie: reprodukcje malarstwa Pabla Pi-cassa.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-sokiem Mazowieckim: reprodukcje ma-larstwa Jana Stanisławskiego.

Muzeum Pożarnictwa w Szczuczynie (czynne we wtorki, środy, czwartki i piątki w godz. 10.00—16.00): sprzęt pożar-niczy.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Brzechwa dzieciom” — ry-sunki dzieci z koła plastycznego.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Stawiskach: plakaty do filmów radziec-kich; „Pionier, mój przyjaciel” — prace dziecięce.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Gra-jewie: fotografia, malarstwo i rysunki Janusza Karwowskiego, absolwenta Li-ceum Sztuk Plastycznych w Supraślu.

Klub Prasy i Książki Zarządu Woje-wódzkiego ZBoWiD w Łomży: rzeźby Stanisława Koziełskiego.

Klub Prasy i Książki w Kołakach Ko-scielnych: malarstwo francuskie.

Klub Prasy i Książki w Kostrach Smiejkach: malarstwo polskie.

Klub Prasy i Książki w Dąbrowce Kościelnej: reprodukcje prac Jana Sta-nisławskiego.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zam-browie: prace nauczycieli wychowania plastycznego z Zambrowa.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Nowogrodzie: „XV-lecie działalności Zespołu Śpiewaczego z Nowogrodu” (cza-sowa).

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Szczuczynie: „Dziecko w malarstwie” — reprodukcje malarstwa radzieckiego.

Wyrazy szczerego współczucia

kol. Anieli Niemczura

z powodu śmierci

S Y N A

składają

Koleżanki i Koledzy ze Szkoły Podstawo-wej nr 5 w Zambro-wie.

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU WĘWNETRZNEGO

zaprasza

PT. Klientów do nowo uruchomionego sklepu branży konfekcyjnej w Stawiskach w godzinach od 8.00 do 16.00

Życzymy udanych zakupów

ogłoszenia drobne

SPRZEDAM sklep, zakład cukierniczy z mieszkanem w Wojciechowie. Wiado-mość: Tadeusz Kuczyński, 58-579 Wojcie-szów, Bolesława Chrobrego 86, tel. 244, woj. jeleniogórskie.

ZAMIENIĘ „Renaulta 18 GTS (1979) na „Poloneza” lub sprzedam. Wiado-mość: 18-420 Jedwabne, Kościuszki 24.

SPRZEDAM „Peugeota” 404 z silnikiem do remontu lub bez silnika. Stan dobry. Wiado-mość: Łomża, Moniuszki 10/24 (po godz. 15.00).

SPRZEDAM „Syrenę” 105 (1976). Wiado-mość: Łomża, tel. 36-71.

BIURO Matrymonialne „Mazury”, Olsz-tyn skrytka 336 — skarbica ofert kra-jowych — zagranicznych.

SPRZEDAM Syrenę Bosto (1978) Stan dobry. Łomża, tel. 27-44 (po 15.00).

KONTAKTY

k-11203

NAGRODY

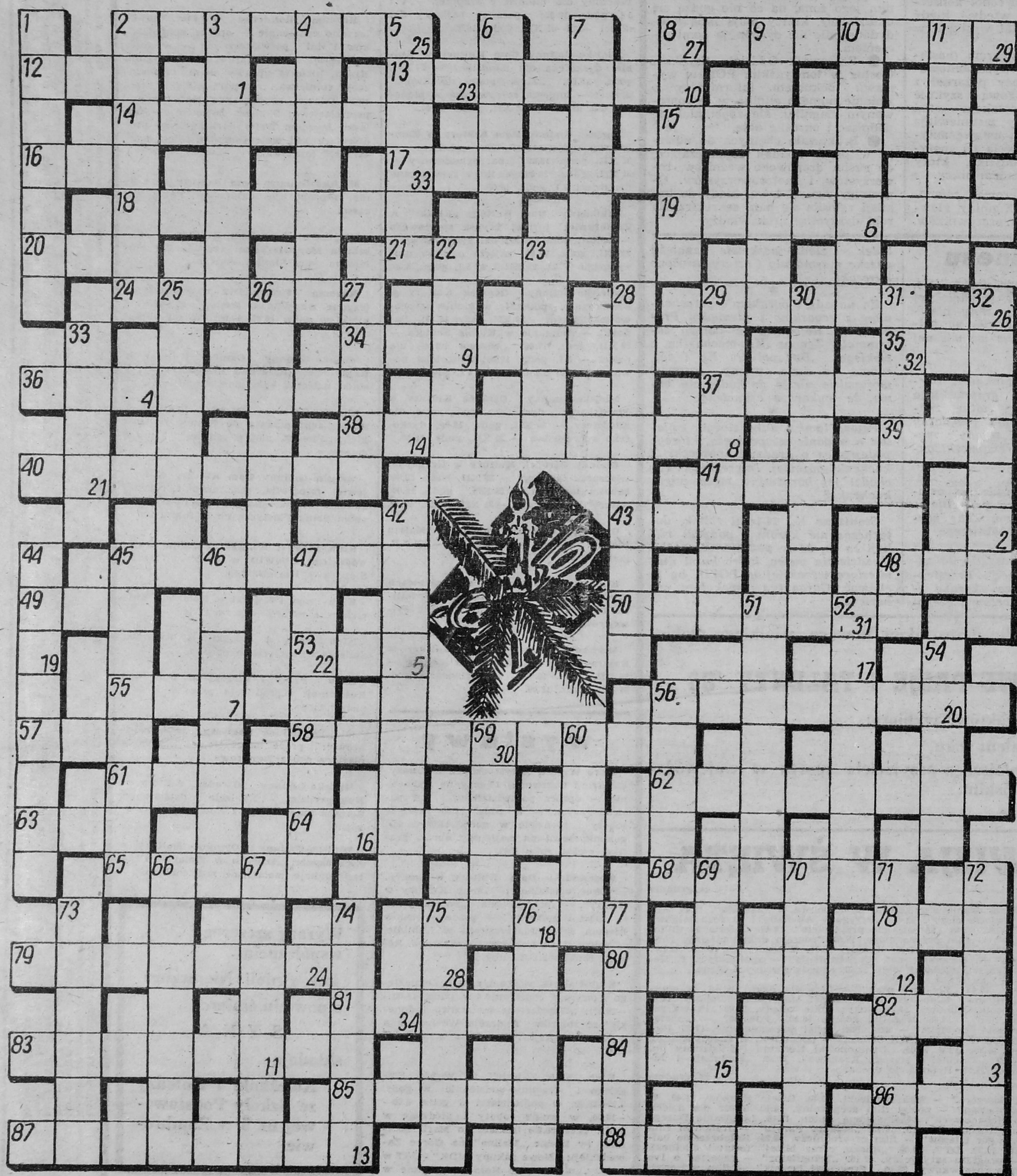
WÓZEK
SPACEROWY



EKSPRES
DO KAWY



OPIEKACZ
5 KLASERÓW



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótkich ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 34, utworzą aktualne rozwiązanie.

POZIOMO: 2) przystojne drzewko świąteczne, 8) sprawa mało ważna, błahostka, 12) imię Sari, znakomitej śpiewaczki koloraturowej, 13) wstrząs podziemny z odgłosami spowodowane pękaniem skał, 14) Lazurowe Wybrzeże, 15) chaber, modrak, 16) wigilijna solenizantka, 17) jedno z podstawowych ćwiczeń wojskowych, 18) dawny wierzechni ubiór męski zwany węgielką, 19) obróbka skrawaniem, 20) rozbija się o izbice, 21) polecenie, rozkaz, 24) w starożytności rywalizowała z Atenami, 29) Antoni, znany rzeźbiarz podhalański (1908-59), 34) mały model jakiegoś pierwowzoru, 35) kaśliwy owad, 36) sposób połączenia osnowy z wątkiem, 37) krótki, żartobliwy utwór sceniczny, 38) wytwarza beton, 39) z Wieliczki, 40) lecznicza odmiana torfu, 41) typ aktora

filmowego, 43) japońska złotówka, 45) może być murarska, turystyczna, narciarska, 48) typ słoika, 49) podłużny wykop ziemny, 50) wierszowana zagadka, 53) nahaj, kańczug, 55) drzewo liściaste, 56) ryzykowna lekkomyślna wyprawa, 57) surowiec koszykarski, 58) urządzenie do utrzymywania stałej temperatury, 61) gejzery, 62) blaszane naczynie z długą rurką do oliwienia maszyn, 63) wschodnie imię żeńskie, 64) człowiek przedstawiający jakiś dowód, kwit, list, 65) kara cielsna, 68) człowiek wadium, zakładnik, 75) brzydka pogoda, plucha, 78) margines boiska, 79) dziewczyna pasąca gęsi, bydło, 80) znany film Romana Polańskiego, 81) małe okienko umieszczone na dachu, 82) pierwiastek chemiczny, 83) ruchoma zastawka regulująca ilość przepływającej wody w stawie, kanale, 84) państwo skandynawskie, 85) niemowlęcy do ssania, 86) część doby, 87) buteleczka na atrament, 88) słynna pustynia chilijska.

PIONOWO: 1) świąteczna szopka, 2) wenezuelska metropolia, 3) stan wiedzy w społeczeństwie, 4) niewłaściwy postępek, nieogledność, uchybienie, 5) kozacki dowódca, 6) zmo-wa, sprzysiężenie, 7) minerał, odmiana polimorficzna dwutlenku tytanu, 8) posiedzenie, zebranie, 9) część krzesła, fotela, 10) imię żeńskie, 11) nasza planeta, 22) krewny pochodzący od wspólnego przodka w linii męskiej, 23) imię Delona, 25) warstewka złota, która powleka inny tańszy metal, 26) osoba utrzymująca się z procentów od wypozyczonego kapitału, 27) pierwotniak posiadający nibynóżki, 28) pacjent w sanatorium, 29) coś z garmażerki, 30) pozbawienie kogoś względów, nieżyczliwość, 31) określona odległość roślin lub ich rzędów od siebie, 32) rodzaj łodzi, 33) widziana przestrzeń, fragment przestrzeni, 42) dwuletnia roślina warzywna z rodziny baldaszkowatych, 44) smakołyk, specjał, 45) jest Kozioł-rozka, Raka, 46) powieść B. Prusa,

47) ptak morski, 51) raca, 52) suma, którą się dopłaca, 54) rozporządzenie, rozkaz panującego, władcy, 56) rodzaj szala futrzanego, 59) zwierzę uparciuch, 60) taniec lat sześćdziesiątych, 66) przyrząd lutowniczy, 67) żartobliwe naśladowanie kogoś, 69) zawiera nasiona maku, 70) oznaczenie czegoś umówionymi znakami, 71) statek żaglowy, jednomasztowy używany od XV wieku, 72) Warszawa, Moskwa, Budapeszt, 73) rola aktora w dobrej sztuce, 74) gumowy but, 75) część widowni stadionu piłkarskiego, 76) zniewaga, 77) stan lub półwysep w USA.

(HCL)

Wśród Czytelników, którzy do 5 stycznia 1984 r. nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania (tylko hasło), rozlosujemy: wózek spacerowy, ekspres do kawy, opiekacz do chleba, 5 klaserów do znaczków pocztowych.

PRZYJACIELEM W BIEDZIE

PZU